№ 51. Warszawa, dnia 6 (18) Grudnia 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH,

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Śnieg i kalendarze. — Przesilenie. — Wydawnictwa. — Obrazy i artyści. — Włochy illustrowane. — Szwajcarya illustrowana. — Rysunki Ludwika Kurelli i Oskara Wiśnieskiego. — Nowy obraz Makarta Bachus i Ariadne. — National Muzeum w Berlinie. — Opłata w galeryach włoskich. — Farby anilinowe. — Izaak Singer i machiny do szycia. — Eljasz Howe. — Przypadki. — Zburzenie starożytnej wieży w Evora. — Wykopaliska w Olimpji. — Dziennik teatralny illustrowany. — Dziennik zdrowia. — Liadan'a Ciocia Teresa. — Bodenstedts Wandlungen. — Pani Hebbel, Teatra prowincyonalne.

(Dokończenie).

Od sztuki i malarstwa przejście do — farby — nie wymaga żadnego łącznika, chociaż ta, o której mamy mówić, nie sztuce służy, ale przemysłowi. Ciekawym, polecić musimy pisemko zajmujące o historyi dziś nadzwyczaj rozpowszechnionych barwników anilinowych, przez W. Frenzl'a. Aniliny, począwszy od atramentu aż do sukienek tęczowemi kolorami świetniejących, są w tak powszechnem zastosowaniu, a tak świeżo weszły w użycie, iż ich pochodzenie, użytek, natura, każdego zainteresować mogą... Któżby się patrząc na te fiolety, lazury, purpury, domyślił, że źródłem ich jest smolisty pierwiastek, wyciągnięty z węgli kamiennych!? Pan Frenzl opowiada dzieje odkrycia tych barwników, poczynające się od fioletu Perkins'a w r. 1856, aż do Emerldinu i żółtej farby, a nakoniec czarnej Nicholson'a, która zdawała się najłatwiejszą do wydobycia z węgla, a przyszła na ostatku...

Śmiało powiedzieć można, iż najznaczniejsza część tkanin, tak świetnemi farbami odznaczających się, winny je anilinom, od których jednak na ostrożności się mieć potrzeba, bo mieszczą w sobie truciznę, a w zetknięciu z krwią i rozranionem ciałem, mogą być przyczyną zatrucia. Dosyć jest skaleczyć się scyzorykiem powalanym od atramentu anilinowego, aby, jeśli się temu nie zapobieży, rękę, a nawet życie utracić. Były już tego przykłady. A pąsowe, bardzo ładne pończoszki, na nóżkach dzieci wyglądające tak ozdobnie — nie są też zdrowe.

Naszym staroświeckim atramentem, można się było powalać bez obawy i uczciwe pióro gęsie nie paraliżowało ręki jak żelazne — ale dziś tak się pisze wiele, że gęsi by nie wystarczyły na literacko-kancelaryjne potrzeby wieku. Przed niewielą miesiącami zmarł w Anglji w hrabstwie Devon, człowiek którego imię mało miało rozgłosu, a któremu świat winien jedno z narzędzi pracy, najszybcej, najpowszechniej weszłych w użycie—machiny do szycia—Izaak Singer. Nie był on wynalazcą tego przyrządu, ale go znacznie udoskonalił i pierwszy zachęcić umiał do używania go, nadając mu rozgłos wielki. Historya machiny tej, jest dosyć ciekawą i sięga daleko dawniejszych czasów, niżby sądzić można, bo już w r. 1805 niejaki Stone w Paryżu, wymyślił przyrząd do szycia, skomplikowany wprawdzie, lecz pierwszą ideę w sobie zawierający.

Machina krawca, Barthelemy Timmonier była z porządku drugą, czy trzecią próbą — a biedny jej wynalazca spóźniwszy się z nią na wystawę Londyńską, 1851 r. zmarł, jak większa część tych pionierów przemysłu, w szpitalu, w r. 1857. W r. 1839, jeden mechanik w Bostonie, wymyślił machinę pończoszkową, ta dała Eljaszowi Howe, pierwszą myśl do — machiny do szycia. W październiku 1844 r. Howe namęczywszy się nad doprowadzeniem do skutku pomysłu swojego, zrobił pierwszą nieforemną próbkę. Brakło jej wiele, widział to sam wynalazca, ale dla czynienia prób i ulepszeń, potrzeba było pieniędzy, a któż człowiekowi opanowanemu ideą ich pożyczy? Howe był ubogi. Szczęściem jeden z jego przyjaciół uwierzył w niego, wziął go z rodziną na utrzymanie i dostarczył funduszu... Machina już szyła — Jak? — o to nie chodziło... Do ostatniego grosza wydawszy na nią, gdy już przyszło brać patent, nie było w domu ani centa, i wszyscy marli z głodu. Howe musiał tymczasowo nająć się za maszynistę przy kolei, aby żyć. Machinę posłano do Anglji, gdzie się ją udało sprzedać za 250 funtów, ale z nią wszystkie prawa wynalazcy. Przez jakie później przechodził Howe walki i trudności, opowiadać nie będziemy. Jedna z jego machin do szycia w r. 1850 wpadła w oko Singerowi, o którym mówimy.

Wróciwszy po obejrzeniu jej do domu, z pamięci narysował ją sobie i podług rysunku zbudował, dodając pewne ulepszenia. Howe musiał się bronić patentem wynalazcy, uzyskanym w Ameryce. Singer wytrwały i uparty jak prawdziwy amerykanin, nie dał się zwalczyć. Dowiódł on że myśl nie była nową, i że przed Howem, już inni się z nią nosili. Wygrał proces i wydarł zarazem istotnemu wynalazcy, część korzyści, jakie mu słusznie należały. Singer nie żałował na ogłoszenia, na hałas i reklamy i najwięcej się przyczynił do upowszechnienia użytecznego wynalazku. Jak w każdej rzeczy na świecie, najtrudniejszym jest krok pierwszy, który najczęściej bywa przypadkowym, posypią się potem poprawki i ulepszenia.

Wynalazcą saskiej porcelany był Böttiger, który w istocie robić chciał złoto... a wypadkiem zrobił porcelanę. Pierwszą anilinową farbę odkrył Perkins probując sztuczną chininę złożyć. Angielska machina do szycia Fisher'a, urodziła się też z pierwotnego pomysłu, robienia na machinie haftów i deseni na siatce. Tysiące mamy przykładów tych trafów szczęśliwych. Wszak i Kolumb, płynął do Indyi, gdy odkrył Amerykę. Pierwszy ten krok stawia się najczęściej bezwiednie i przypadek gra w historyi

wynalazków, rolę większą od rachuby i przemysłu ludzkiego.

W chwili gdy po całym świecie ludzie się kopią w ziemi, szukając w niej pozostałych życia tego śladów, które w książkach się nie mieszczą — jeden z najpiękniejszych pomników, zachowanych wybornie, — należący do 75 roku po Chrystusie — sławna wieża Quintusa Sertoriusa w Evora w Portugalji, została.. zwaloną, bo się tak podobało panu burmistrzowi miejscowemu... Na jej miejscu, ma być urządzoną targowica, dla wygody mieszkańców. Starożytnicy wszyscy, po tej pięknej budowie Juliańskich czasów, płakać powinni, a burmistrze się wstydzić. Była to ozdoba Evory... a jednak nikt nie zaprotestował przeciw barbarzyństwu!!

Niemiecka komisya wysłana do Grecyi dla odkopywania ruin Olimpji; d. 4 października rozpoczęła swe prace, o których wszyscy z żywem zajęciem oczekują wiadomości. Niepodobieństwem było rozpocząć prędzej, bo na polach stało jeszcze zboże, które poszanować musiano.

W Niemczech mnożą się pisma specyalne peryodyczne, których jednak znaczna część zaledwie świat ujrzawszy, żegnać go musi... W Berlinie zjawił się właśnie, (nie pierwszy) Illustrowany dziennik muzykalny i teatralny, którego numer na próbę rozesłany, wiele się zdaje obiecywać — ale — te numera pierwsze są jak daktyle w pudełkach przychodzących ze wschodu. Na wierzchu przecudowne, u spodu... bywa różnie. Imiona współpracowników nowego dziennika, brzmią pięknie. Redaktorem jest p. Otto Reinsdorf. W Elberfeldzie zaczęło wychodzić: „Zdrowie,“ dziennik poświęcony pielęgnowaniu zdrowia, ciała i ducha!

Teatralnych nowości — mnóstwo. Największym podobno sukcessem ma być w Wejmarze po raz pierwszy przedstawiana „Ciocia Teresa“ Liadan'a. Bohaterką jej jest trzydziestoletnia ta Ciocia, która od lat kilku sądzi się kochaną przez artystę, czując doń też przywiązanie, a w końcu odkrywa, że niegodziwy malarzyna, zamiast w niej, zapamiętale się kocha w synowicy jej młodziuchnej Helence. Walka z tem przywiązaniem i — pojęciem obowiązku i ofiary dla szczęścia drugich, stanowi treść sztuki. Ciotka poświęca się dla Heleny. Sama u brata stara się aby malarz z nią się ożenił — a Opatrzność wynagradza ją, doktorem Bredowem, który oddawna miał myśl oświadczenia się jej, ale mu się jakoś nie składało. Komedya ma być ułożoną zręcznie i pomimo długiej expozycyi, żywo idzie ku rozwiązaniu. Znanego poety Fryderyka Bodenstedt'a, grano także świeżo w Hanowerze, po raz pierwszy, komedyę „Wandlungen“ zajmującą tem, że główne kwestye społeczne, które dziś w Niemczech rozwiązują się w walce różnych żywiołów, tu są żywo przedstawione na scenie, w szacie poetycznej, z dowcipem i życiem, jakiemi odznaczają się pisma Bodenstedt'a. Nie będzie to nigdy sztuka popularna, lecz starannie odegrana spodoba się wykształconemu i wyborowemu towarzystwu.

Teatr wiedeński (Burgu) stracił jedną z najbardziej utalentowanych swych artystek, żonę poety Hebbl'a, niegdy pannę Enghaus, która od r. 1839, występowała na nim z wielkiem powodzeniem. Ona stworzyła tu rolę Judythy w tragedyi męża swego Fryderyka Hebbel, i w niej szczególnie dała dowód znakomitego talentu. Znużona sceną, usunęła się pani Hebbel i nie łatwo być może zastąpioną. Teatra prowincyonalne niemieckie, krzątają się wielce, i ruch w nich ogromny. Stosunkowo prowincya więcej się sceną interesuje niż stolice, w których opera i operetka tylko pociągają.

SIERPNIOWY DZIEŃ.

A czy pamiętasz,
Ten — zdala miasta, zdala ludzkich gwarów,
Cichy, słoneczny dzień
Sierpniowy — pełen uroków i czarów
Jesiennych barw i tchnień.

Zaścielał ziemię, na pól zwiędły, biały,
Pomarańczowy kwiat,
A takie fale niósł woni, że cały
W tej woni tonął świat.

A u posągów stóp marmurowych
Pamiętasz — kilka róż
Rozkwitło białych — i dwie purpurowych
Płonących barwą zórz.

Tak było cudnie — tylko cyprysowe
Drzewa rzucały cień —
Po co tu rosły te drzewa grobowe
W ten pełen czarów dzień?..

A może dobrze że one wspomnieniem
Zgonu i przeszłości mar,
Zbudziły ze snu — zbudziły cierpieniem
Bo piersi — chwytał czar.

Ewelina.

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

— Przeciwnie mój wuju.

— Dziecinna jesteś Stasiu. Jeżeli chcesz mi tym sposobem dać poznać, że masz nieświeży kapelusz, zszarzane okrycie, to wcale niepotrzebna komedya. Trzeba przyjść do mnie i poprosić o nowe. Przecież bym ci nie odmówił.

Były to niesłychane słowa w ustach pana Kalasantego, Eligija nie wierzyła własnym uszom. Była pewna że Stasia skorzysta z tego, ucałuje ręce wuja, i wyrecytuje całą litanię sprawunków, ale ona odparła przeciwnie.

— Dziękuję bardzo — za dobre chęci względem mnie, wiem jednak wuju że masz liczną rodzinę, nam codzień powtarzasz iż jesteś ubogim, i potrzebom ich nastarczyć nie możesz, nie powinnam więc być ci ciężarem, ani przyjmować cośkolwiek z krzywdą twoich córek.

— Co to nie powinnam! bierz kiedy ci daję, one wszystkie nie robiłyby takich ceremonji.

Mówiąc to miał wyraźnie na myśli żonę i córki. A chcąc do reszty zjednać sobie Stasię, której potrzebował do swoich planów, łączył uczynek do słów, i otworzywszy portmonetkę wydobył z niej podartą dziesięciorublówkę i podał ją dziewczynie. Ta jednak odsunęła ją z uśmiechem.

— Dziękuję ci raz jeszcze wuju, wyrzekła, ja sama sobie dam radę.

— A ja nie chcę słyszeć o tem zmudnem zecerstwie, rozumiesz?

— Nie rozumiem, bo muszę i powinnam sobie wystarczyć, odparła podnosząc głowę i patrząc na niego ze spokojem przekonania.

Pan Kalasanty osłupiał, siostrzenica nie tylko odrzuciła niesłychaną wspaniałomyślność jego, aleośmieliła się mu zaprzeczyć.

— Ale kiedy ja nie pozwalam żebyś pracowała w drukarni, zawołał hamując wybuch gniewu, i trzymając w ręku pieniądze, których ona przyjąć nie chciała.

— Nie masz prawa mi tego zabronić wuju, odparła spokojnie, kiedy przyjechałam tutaj, prosiłam o gościnność na czas krótki, dopóki sobie nie wynajdę zajęcia.

— Alboż to się zawsze tak nie mówi z początku, czas krótki, czas nieograniczony, aż póki się nie zostanie na zawsze.

— Nie wiem jak byłam zrozumianą, ja mówiłam na seryo.

— Mniejsza z tem jakeś mówiła, stało się, powtarzam ci ja tego nie żałuję. Jesteś dobra dziewczyna, daj pokój głupstwom, cóżby to świat powiedział, że moja siostrzenica pracuje w drukarni.

— Mnie świat nie obchodzi mój wuju, nie znam go i znać nie chcę.

— Wielka sztuka, ale mnie on obchodzi.

Stasia uśmiechnęła się lekko.

— To już trudno, szepnęła, nie chciałabym się wujowi odpłacić przykrością za otrzymane łaski, a przecież przy swojem obstawać muszę.

Było tyle łagodnej stanowczości w jej głosie, iż Drobiński zrozumiał że się nie da pokonać.

— Niech licho porwie wszystkie kobiety, zawołał gniewnie.

Niebawem jednak uspokoił się siłą woli, Stasia imponowała mu nie wiedzieć czem, a potem nie chciał w tej chwili się z nią poróżnić.

— Żebyś przynajmniej, dodał, wzięła się do jakiej innej pracy, żebyś dawała lekcye, została guwernantką.

— Nie jestem dostatecznie wykształconą.

— Wielka rzecz, alboż to jedna guwernantka nic nie umie.

Stasia uśmiechnęła się znowu, rozumiała doskonale że wszelka dyskusya w tym względzie była daremną.

— Czy chciałbyś wuju, wyrzekła łagodnie, ażebym do takich należała.

— Wolałbym żebyś siedziała spokojnie, nie probując Bóg wie czego, tylko skoro już chcesz koniecznie....

— Tak jest wuju, chcę koniecznie nikomu nie być ciężarem i zapracować uczciwie na chleb powszedni, dla tego też wolę być dobrą zecerką niż złą nauczycielką.

Wyrzekła to z tą przedwczesną powagą, zdobytą latami cierpień co nadawało tak odrębny charakter, jej młodym rysom i słowom.

Pan Kalasanty przez chwilę patrzył na nią kręcąc głową z nierozwikłanym wyrazem.

— Hm! mruknął, jesteś uparta, wiem o tem, uparta jak twoja matka i nikogo posłuchać nie chcesz, a jednak kto wie czy jutro, owa praca o której mówisz bezustannie, będzie ci potrzebna?

Spojrzała na niego nie rozumiejąc dokładnie o czem chciał mówić, czyżby znał zamiary Jana, i wiedział że mu się powiodą. Przecież odparła po minucie namysłu.

— Nikt przyszłości przewidzieć nie zdoła, więc się na nią oglądać nie należy, a chociażby nawet owe swobodne jutro nastało, ono mi na dziś nie starczy.

— O tem jutrze jednak myśleć należy.

— Myśleć! powtórzyła zdziwiona, nie rozumiem cię dobrze mój wuju.

Patrzyli na siebie czas jakiś, on badawczo, ona ciekawie, wreszcie pan Kalasanty wziął ją za rękę i zaprowadził do swego gabinetu. Był to wstęp solenny.

— Stasiu, wyrzekł zamykając drzwi za sobą, jak gdyby lękał się ciekawych oczów: Stasiu, kiedy pan Salezy Drobiński napisał list polecający mi ciebie, jakie były wasze stosunki?

Dziewczyna uderzona tem niespodzianem pytaniem pobladła i stanęła w miejscu jak wryta, wargi jej zadrgały, zanim potrafiła przemówić.

— Stosunki nasze były żadne, szepnęła.

— To być nie może, on pisał mi o tobie.

— Nie znał mnie, powtórzyła Stasia wlepiając w Kalasantego oczy, w których teraz błyskało coś nakształt łez. W chwili gdy ojciec mój umierał w obłąkaniu rozpaczy, zwróciłam się do niego, błagając pomocy...

— I cóż?

— List mój, mówiła dalej ponuro, był spóźniony, pomoc ludzka choćby nadeszła, byłaby bezsilną w obec śmierci.

— Więc pan Salezy chciał was ratować?

— Ja nie wiem, w jego imieniu przybył jakiś baron von Schmuc.

— I cóż? powtarzał niecierpliwy właściciel domu zdziwiony i zaniepokojony razem.

Stasia przez chwilę zdawała się zbierać odwagę lub szukać słów właściwych, wreszcie podniosła na niego twarz oblaną rumieńcem oburzenia.

— Jestem bardzo młodą mój wuju, wyrzekła, ale nieszczęście wśród którego wzrosłam, stanie mi za doświadczenie. Nauczyłam się bacznie spoglądać, bo wiem że sama odpowiadam za siebie, że nie mogę liczyć na niczyją obronę, sam baron von Schmuc jest nikczemnikiem, powiedziałam mu to wręcz, nie podobna mi było przyjąć jego opieki ani na chwilę, i przebywać w domu w którym on przebywa.

— Więc pan Salezy chciał cię wziąść do siebie?

— Tak mówił baron.

— I ty odrzuciłaś?

— Nie mogłam inaczej uczynić, odparła z prostotą.

Drobiński milczał, spoglądając na nią z rodzajem przerażenia, bo w oczach stanęło mu całe minione niebezpieczeństwo. Więc była chwila w której przepaść otwarła się pod jego nogami a on o tem nie wiedział. Cóżby się stało gdyby Stasia zjednoczyła się ze Schmucami, a w umyśle starego bogacza, głos obowiązków rodzinnych przemówił obok namiętności do pięknej baronowej. Zapewne takim musiał być zamiar Sygfryda, który rozbił się o hart ducha i szlachetność sieroty.

Na samą myśl o tem co być mogło, zimny pot oblewał czoło Drobińskiego.

— Stasiu, szepnął urywanym głosem, jesteś zacną dziewczyną, tak jak twoja matka.

— Mój wuju, odparła niemal obrażona podobną pochwałą, przecież nie mogłam inaczej postąpić.

— Tak, tak, nie mogłaś inaczej — ma się rozumieć — naturalnie — a jednak tu chodziło może o całą sukcesyę pana Salezego, czy wtedy pomyślałaś o tem?

— Nie miałam czasu pomyśleć, odparła dumnie, ale to nie zmieniłoby mego postanowienia.

W chwili kiedy właściciel domu usłyszał podobne zdanie, trudno było odgadnąć jakie uczucie przeważało w jego sercu: zdumienie, wdzięczność, (boć w rezultacie on miał nadzieje skorzystać z błędów przeciwnika) czy też pogarda dla nierozsądku dziewczyny, co podobne błędy popełniała bez wahania i żalu. Zagadka charakteru Stasi rozwiązywała się w jego przekonaniu; była ona po prostu szaloną, tylko dla szaleństwa jej miał poszanowanie — we własnym interesie. Patrzał więc na nią osłupiałym wzrokiem.

W duchu jego rodziło się tysiące wątpliwości. Z jednej strony lękał się i wahał w użyciu siostrzenicy do swoich zamiarów, z drugiej dodawała mu otuchy jej niepojęta bezinteresowność.

— Czy wiesz, spytał oględnie, nie wyjawiając całej swojej myśli, że ci Schmucowie czychają na majątek pana Salezego, który nam się z prawa należy.

Pierwszy to raz jednoczył ją z sobą w wyrachowaniach sukcesyi, ona jednak nie zwróciła na to uwagi.

— Być może, odparła z obojętnością, wyrachowanie podobne godne jest barona von Schmuc.

— Ależ to majątek ogromny, ciągnął dalej pan Kalasanty, któremu wraz ze słowami oczy zamigotały.

— Mój wuju, cóż nas to obchodzi.

— Jakto! wszakże mówiłem ci, że on z prawa nam się należy.

Wstrząsnęła głową.

— Schmucowie posiądą, możemy być o to spokojni.

— Dla czego? zkądże wiesz? pytał zaledwie słyszalnym głosem właściciel domu.

— Bo oni nie cofną się przed niczem, aby go posiąść.

Była loika i znajomość ludzi w tych słowach, które znów wprawiły go w zdumienie.

— A zresztą, mówiła dalej, oni posiadają zaufanie pana Salezego.

— Czy jesteś tego pewną?

— Dla czegóżby wysyłał w swojem imieniu do mnie barona?

Drobiński zamyślił się głęboko. Fakt ten wprawdzie mógł ulegać rozmaitym tłomaczeniom kto wie czy to nie był fortel Sygfryda dla pozbycia się Stasi, kto wie czy rzeczywiście, miał zlecenie do sieroty? Wszystko to przechodziło jego pojęcie. Czuł tylko że niebezpieczeństwo było groźne i wymagające natychmiastowego działania.

— Więc cóż mamy robić Stasiu? zawołał z komiczną rozpaczą, stojąc przed nią z załamanemi rękami i odwołując się do jej rady.

— Ja sądzę że nic mój wuju, odparła spokojnie.

Pan Kalasanty aż podskoczył na miejscu z oburzenia.

— Otóż to prawdziwie kobieca odpowiedź, zawołał rozgniewany, pozwolić wziąść sobie z przed nosa, milijonowy majątek, przez jakichś awanturników.

Stasia milczała. We własnem przekonaniu, nie rościła sobie żadnego prawa do sukcesyi po stryjecznym dziadku, i w walce życia rachowała tylko na swoje siły, czuła jednak dobrze iż daremnieby roztaczała przed wujem te filozoficzne poglądy, nie był w stanie ich podzielić.

— A gdyby Stasiu, zawołał uniesiony ważnością tego momentu, gdyby Sygfryd chciał ożenić się z tobą.

Znowu rumieniec oburzenia wystąpił na twarz dziewczyny.

— Żartujesz zapewne mój wuju, zawołała, wszakże sam nazwałeś go awanturnikiem, wszakżeż powiedziałam ci że nim pogardzam.

Zapewne w przekonaniu pana Kalasantego nie stanowiło to wcale przeszkody do małżeńskiego interesu, zwłaszcza gdy chodziło o tak grube sumy: przecież także nie uważał za stosowne, wypowiedzieć całą myśl swoją.

Konferencya więc do niczego nie doprowadziła, pan Kalasanty dowiedział się tego co mu było potrzebnem, ale zresztą rady żadnej znaleść tu nie mógł, pozostał więc zafrasowany niezmiernie.

Kasztany piekły się w ogniu, ale ręce które je miały wyciągać, okazały się do tego niezdatne zupełnie, a co gorsza gdyby nawet wmieszały się do tej sprawy, mogły wyciągnąć je na własną korzyść. Problemat był naglący i coraz trudniejszy do rozwiązania.

Kiedy dnia tego po obiedzie Stasia wyszła z domu, ażeby według zwyczaju udać się do drukarni, spotkała się niespodzianie z panem Feliksem, który ze zwyczaju próżniactwa, a może wiedziony tajemniczym urokiem, szedł do Drobińskich.

Widok młodej dziewczyny sprowadził jednak zwrot w jego zamiarach i korzystając ze sposobności, postanowił zawiązać z nią rozmowę.

Feliks jednak nie przyznał przed samym sobą powodów tego postępku, on przypomniał sobie co mówił o Stasi prowincyonalny kolega. W razie gdyby się jego przewidywania spełniły, panna Olska była daleko lepszą partyą od panny Drobińskiej. Myśl podobnego małżeństwa uśmiechała mu się nierównie więcej i nie raziła wcale jego sumienia. Wprawdzie dla wykwintniejszych gustów Złocica, ubiór Stasi był trochę rażący. Włosy jej były gładko zaplecione, skromna suknia zdradzała kilko-miesięczne użycie, kapelusz nie miał żadnego szyku a co gorsza żadnej świeżości, przecież wszystko to razem wzięte było tak schludne, a chód Stasi pomimo braku tylu rzeczy uważanych przez ogół panien za niezbędne, tak swobodny i nie zdradzający żadnego zakłopotania, iż pomimo te smutne szczegóły nie traciła właściwego wdzięku.

Młody doktór spotkawszy Stasię widocznie pragnął zawiązać rozmowę, ale pamiętając dobrze jak ona przyjmowała komplementa, rozpoczął ją dyplomatycznie za pośrednictwem zdrowia narzeczonej.

— Jakże się ma panna Eligija, zapytał, zwracając się w stronę w którą szła.

Stasia spojrzała na niego zdziwiona tym postępkiem, wytłomaczyła go sobie jednak troskliwością o narzeczoną.

— Zawsze jednako, odparła, czy pan dostrzegłeś jakie groźne symptomata?

Pan Feliks zmieszał się jak student pod wzrokiem Stasi.

— Nie — rzeczywiście — to jest, jąkał się niepewnie, to jest, ja zawsze jestem niespokojny.

— Czemu? zawołała z przestrachem, czy choroba tak niebezpieczna.

— Ależ nie, nie, przerwał niecierpliwie, tylko pragnąłbym widzieć pannę Eligiję w najlepszem zdrowiu, panią to dziwić nie powinno.

— Nie dziwi mnie bynajmniej.

Na tem urwała się rozmowa, temat zdawał się wyczerpany. Pan Feliks jednak nie dał za wygranę, i przez chwilę w milczeniu szedł obok Stasi, zapominając zupełnie że to była popołudniowa godzina, i że strój jej nie odpowiadał wcale położeniu towarzyskiemu, jakie silił się zajmować.

— I jakżeż pani po dłuższym pobycie znajdujesz Warszawę? spytał wreszcie.

Bo pomimo długiego namysłu, nie nasunął mu się żaden inny mniej oklepany frazes na usta.

— Alboż ja znam Warszawę, odparła z uśmiechem.

— Jakto pani?

— Czy pytasz mnie pan o ludzi, tryb życia, czy też po prostu o ulicę?

— O wszystko razem, mówił młody doktór, który nie żądał wcale tak kategorycznych odpowiedzi, i rzucił pospolite pytanie jako tymczasowy wstęp tylko.

— Cóż pan chcesz żebym odpowiedziała, znam tylko dom wujostwa i drukarnię w której pracuję.

— Pani pracujesz w drukarni, zawołał ze zdziwieniem, w którem przebijało się coś więcej jeszcze.

— Tak jest.

— Sądziłem, wyrzekł po chwili, że pani przyjechałaś do domu państwa Drobińskich, jako do bliskich krewnych.

— Tak, ale zdaje mi się, że kto ma zdrowe ręce do pracy, nie powinien być nikomu ciężarem.

Stasia wyrzekła to z taką prostotą przekonania, że doktór spojrzał na nią z wzrastającem zdziwieniem.

— Jest to szlachetne przedsięwzięcie, zawołał, jakby uniosła go w tych słowach lepsza część jego natury.

— Nie widzę tu nic szlachetnego, odparła, praca jest dla mnie koniecznością.

— Ale czy każden konieczności wydoła.

— Musi wydołać lub zginąć, poprawiła go łagodnie Stasia.

— W każdym razie panno Stanisławo, jest to twarda dola.

— Dla czego? zapytała, podnosząc na niego jasne wejrzenie.

Pytanie to znowu zmieszało doktora, przypomniało mu dawno słyszane nauki.

— Więc pani nie znajdujesz, zawołał, że tysiące ludzi ma los szczęśliwszy od twego.

— Być może, szczęśliwszemi są ci wszyscy, co nie zaznali sieroctwa i żyją w pośród ukochanych, być może jednak że nie zawsze ocenić to umieją.

Odpowiedź ta zawstydziła Feliksa: mówiąc o twardej doli, nie miał bowiem wcale na myśli sieroctwa.

— Pani, wyrzekł z nieśmiałością zupełnie nową u niego, nie chciałem tykać tego bolesnego przedmiotu, mówiłem o pracy samej, myślałem że przykro gdy tylu innych bawi się i używa, zdobywać chleb swój w pocie czoła.

— Na to ja się nie zgodzę, zawołała.

Zaprzeczenie to było znowu nowością dla młodego doktora, tem bardziej iż nie mógł się omylić na wyrazie szczerości, z jakim wypowiedziała je Stasia.

— Jakto? zapytał więc pani masz pogardę dla bogactwa.

Była to druga ostateczność, o której ona nie pomyślała wcale.

— Ależ ja tego nie powiedziałam, nie mogłam powiedzieć, zawołała, bogactwo to ogromna potęga w ręku. Tylko nie uważam, by ono uwolnić nas mogło od pracy, ono przeciwnie, rozszerzyć ją powinno, inaczej stałoby się koniecznie ciężarem.

Słuchając Stasi, można było pomyślić, że mówi we własnym interesie, i ze swego wyłącznie stanowiska zapatruje się na świat w życiu okiem zawiści. Ale ona mówiła po prostu, co czuła, co myślała, nie przypuszczając zapewne by można słowom jej nadać inne tłomaczenie. Wychowanie jakie odebrała, nauczyło ją patrzeć wprost na rzeczy i nazywać je po imieniu bez względu na panujące przesądy, bo tych najczęściej nie znała.

Zdanie to jednak nie było nowością dla Feliksa, słyszał je nieraz jako zwyczajną oklepankę kursującą po świecie, jako rzecz której nikt nie myśli w czyn wprowadzać; ale słyszał także wymawiane z siłą przekonania stwierdzonego życiem całem, w dworku rodziców.

Wprawdzie uważał je wówczas za owoc dziwactwa starca, za niewyrozumiałość dla potrzeb chwili i potrzeb młodości, dziś jednak spotykał je niespodzianie w osiemnastoletnich ustach Stasi, jako aksyomat nie podpadający wątpliwości żadnej.

Nad tym faktem pan Feliks zamyślił się głęboko. Stasia pomimo tych poważnych poglądów, miała twarz pogodną, chociaż dola jej nie mogła budzić zazdrości. Sierota rzucona w życiu sama jedna, rachując tylko na swoje własne siły, patrzyła przed siebie jasnym wzrokiem i zdawała się stokroć szczęśliwszą w ubóstwie i pracy swojej od Eligji, innych córek pana Kalasantego i wielu panien które znał młody doktór.

Był to istny moralny fenomen budzący w nim cześć i poszanowanie. To też nie spostrzegł jak odprowadził ją do drzwi drukarni. Ona nie zdawała się tem ani zakłopotaną ani zdziwioną, pożegnała go bez najmniejszego przymusu i weszła w głąb ciemnego korytarza, szybko i lekko spokojnym krokiem, nie oglądając się nawet.

To znowu nad wyraz ubodło młodego doktora. Najprostsze odezwanie się Stasi budziło w nim myśli, wspomnienia i uczucia dotąd nieznane, i sprawiało rozdźwięk w jego moralnej istocie, tak gładko przykrojonej do ogólnej miary. Przychodziły mu wątpliwości, czy utarta droga którą obrał sobie wbrew przykładów otrzymanych z domu rodziców, była istotnie drogą szczęścia. Dotąd nie znajdował go wcale a nawet ludzie którzy tak samo jak on myśleli i postępowali, zdawali mu się także bardzo dalecy od tego ideału któremu poświęcali wszystko.

Pan Feliks powrócił tedy zadumany od drzwi drukarni, ale nie poszedł już dnia tego do Drobińskich, a nazajutrz umyślnie spóźnił swoje odwiedziny ażeby trafić na godzinę, w której Stasia powracała do domu: dom ten bowiem bez niej wydawał mu się straszliwie nudnym i jednotonnym, a towarzystwo narzeczonej coraz mniej miało dla niego powabu.

Stasia nęciła go, podbudzała ciekawość i drażniła miłość własną, a przytem opowiadania Lusia powracały mu do myśli, mógł niemi usprawiedliwiać się we własnych oczach. Gdyby też wielki majątek Salezego Drobińskiego spadł na nią zamiast na Eligiję, czy nie było rzeczą dobrej polityki wyrobić sobie przychylne auterjora u przyszłej dziedziczki i zdaleka zaatakować jej serce, póki była tylko ubogą dziewczyną pracującą na siebie.

Rzecz ta wprawdzie nie przedstawiła się w tak prostej formie w umyśle pana Feliksa, przechodziła przez różne fazy i przemawiała do niego ze stron różnych, bo w gruncie rzeczy prostota, energija i łagodność Stasi, te przymioty które najmniej cenił dotąd w kobiecie, uczyniły na nim niestarte wrażenie.

Dnia tego gdy ukazał się w salonie Drobińskich, Eligija była u siebie i wcale nie spieszyła się z przybyciem na powitanie młodego doktora. Nie dziwiło to nikogo, od jakiegoś czasu drażliwość Eligji przybierała fantastyczny charakter, zwykła apatya ustąpiła jakiejś nerwowej niecierpliwości, gniewała się na wszystkich i wszystko, płakała bez powodu. Matka i babka badały ją daremnie, daremnie nawet babka przyniosła jej letnią suknię z najmodniejszym deseniem, nie chciała odpowiadać na jej pytania, i nie zajęła się nawet szyciem nowego stroju.

Był to bardzo groźny symptomat. W salonie ukazywała się coraz rzadziej, nawet kiedy tam był pan Feliks, a powitawszy go uciekała najczęściej do swego pokoju i rzucając się na łóżko, pozostawała głucha i ślepa na wszystko pozornie.

Matka martwiła się i nie wiedziała co o tem sądzić, siostry nie przywykłe podzielać smutków swoich, śmiały się po cichu, Stasia odepchnięta raz i drugi przez kuzynkę, czekała wytłomaczenia tego zagadkowego postępowania. A narzeczony jeżeli domyślał się powodu tego burzliwego stanu, nie dawał tego poznać po sobie, ale w duchu zastanawiał się zapewne, iż żona wiecznie cierpiąca, zdemoralizowana, rozkapryszona, a w dodatku z nieokreślonym posagiem, stanowiła szczęście bardzo problematyczne.

Dnia tego więc pan Feliks znalazłszy się na łonie swej przyszłej rodziny, po zwykłych frazesach powitania zbliżył się do Stasi, która korzystając z resztki dnia, na wpół ukryta we framudze okna, układała pilnie kokardki dla Józi i cała zdawała się zajęta swoją pracą.

— I cóż robi dzisiaj panna Eligija? zapytał, zwracając się do niej, z naturalnem zaufaniem jakie wzbudza wyższość inteligencyi.

— Eligija słaba, odparła krótko.

— Przecież, cóż to nowego? nalegał doktór.

Stasia podniosła na niego jasne rozumne oczy, ale odpowiedziała tylko:

— Ja nie wiem.

I znowu pochyliła głowę nad robotą, gładząc po czole pukle układanych wstążek, nie zwracając uwagi na młodego człowieka.

Doktór nie dał za wygraną, przysunął sobie krzesło do okna przy którem siedziała i zapytał pół głosem:

— Czy pani nie wie naprawdę, czy tylko nie chce mi tego powiedzieć?

Była jakaś tajemniczość w tych słowach, które zwróciły baczną uwagę dziewczyny.

— Dla czegóżbym coś taić miała? spytała z kolei odsuwając się od niego, jakby pragnęła przerwać rozmowę.

Feliks to zrozumiał.

— Panno Stanisławo, szepnął, zostań tu pani chwilę.

Głos jego był wymowniejszym niż słowa, zdradzał jakiś rodzaj cierpienia którego z pewnością Stasia nie domyśliła się przyczyny.

— Co panu jest? zapytała tknięta tym wyrazem.

— Co? wybuchnął doktór, czy sądzisz pani że moje położenie jest tutaj godne zazdrości? Znasz pani ten dom, zrosłaś się już z nim, czy znalazłem tu czego miałem prawo żądać? Czy ufność wzajemna i jednaki interes przynajmniej, połączyły mnie z nim węzłem rodzinnym? Czy jestem tu synem, czy obcym? Co znaczy postępowanie Eligji? Feliks sam będąc nie rad z siebie, pragnął widocznie własne winy zwalić na innych i obciążyć ich odpowiedzialnością za niejasne położenie jakie było jego udziałem, a które przyjął dobrowolnie w dniu gdy zgodził się wszelkie układy przyszłości zostawić na później.

— Ja sądzę, wyrzekła Stasia po chwili namysłu z właściwą sobie loiką, że każden zajmuje stanowisko jakie sobie zdobyć potrafi.

Nie spodziewał się zupełnie podobnie spokojnej i racyonalnej odpowiedzi, rachował przeciwnie na objaw współczucia, na to że ona rozczuli się nad jego losem, dla tego też odpowiedź odebrana, ubodła go niezmiernie.

— Tak pani sądzi? odparł z widoczną obrazą.

Krew uderzyła mu do twarzy, wzrok zamigotał, ale wszystko to straconem było dla dziewczyny, która znowu zdawała się wyłącznie zajęta robotą. Doktór byłby z radością pomiął w rękach te gałganki, co ją tak absorbowały i wyrzucił je za okno. Nie było jednak sposobu chęć podobną zamienić w uczynek, po chwili więc musiał się uspokoić i mówił dalej z widocznym żalem.

— Więc pani uważasz może, iż ja jestem winien niewytłomaczonemu smutkowi panny Eligji.....

Tutaj zawahał się chwilę, jak gdyby lękał się powiedzieć za wiele, przecież uniesiony wzruszeniem dodał:

— I jej kaprysom, bo inaczej nazwać nie mogę dziwactw jakie popełnia.

— Choroba wyradza nieraz dziwactwa, odparła spokojnie, nawet w najlepszych naturach, jako doktór, musiałeś to pan w praktyce swojej spotkać.

Przygryzł mimowolnie wargi, bo znowu nie spodziewał się tej odpowiedzi.

— Pani bo wszystko umiesz wytłomaczyć, skoro chcesz tylko.

— Nie powinniśmy być surowi dla tych co cierpią, wyrzekła łagodnie i którzy nas kochają.

Zdawało się przypominać mu tym słowem, obowiązki zaciągnięte i miłość płaconą miłością.

— A ja czy myślisz pani że ja nie cierpię, zawołał patetycznie.

— A dla czegoż byś pan miał cierpieć?

— Pani powinnaś to rozumieć.

— Jednakże nie rozumiem.

I mówiąc to znowu wlepiła w niego pytające spojrzenie którego blaskiem i pogodą został jakby olśniony. Po raz pierwszy dostrzegł w nim wiele rzeczy, jakich nie widział nigdy w kobiecych oczach, była tam prawda i światło, męztwo i niewinność.

— Ah! zawołał porwany prawdziwem uczuciem, czemuż Eligija nie jest do pani podobną?

— Do mnie? powtórzyła zdziwiona, rozumiejąc mniej jeszcze ten wykrzyknik, niż poprzednie zapytanie.

Pan Feliks jednak go nie powtórzył, opanowała go nagła nieśmiałość, podparł głowę na ręku i patrzał przez chwilę ukradkiem na Stasię. I rzecz dziwna w tej prostej, czarnej, trochę wytartej sukience, wydawała mu się stokroć powabniejszą od postrojonych kobiet, które tak często uśmiechały się do niego. Byłże to wpływ jej własny, czy też przyszłego majątku.

Czas jakiś trwało pomiędzy niemi milczenie.

— Czy pan nie pójdziesz zobaczyć Eligji? zagadnęła wreszcie Stasia.

Feliks potarł ręką czoło jak człowiek ze snu zbudzony.

— Czy koniecznie teraz? zapytał z widocznem ociąganiem się, jak gdyby chodziło o jakiś ciężki obowiązek.

— Teraz to już ja nie rozumiem pana, wyrzekła.

Nie tłomaczył się i rad był może w duchu, że zrozumiany nie został, bo jakże wówczas wytrzymałby spojrzenie Stasi, jakby jej wytłomaczył tę dziwną przemianę odbywającą się w jego sercu?

Ale gdy ponowiła propozycyę odwiedzenia Eligji, chwycił za kapelusz i uciekł z pokoju, nie zważając na zdziwienie całej rodziny.

— Cóż się stało panu Feliksowi? zawołano chórem po jego niespodzianem wyjściu. Stasiu? cóż on ci powiedział.

Postępowanie młodego doktora było tego rodzaju, iż Stasi trudno było dać objaśnienia.

— Czy nie mówił o Elci, pytała dalej pani Pelagija, czemuż do niej nie poszedł? Słabsza, chciałam właśnie go się poradzić?

— Mówiłam mu to, odezwała się Stasia, zakłopotana tem że niespodzianie została wmieszaną w sprawę przybierającą niejasny charakter.

Pani Pelagija załamała ręce.

— Widocznie Elcia zraziła go swemi dziwactwami: onegdaj nie chciała z nim mówić wcale, wczoraj znów siedziała w oknie cały dzień, wyglądając jego przyjścia, a potem ze łzami odeszła do siebie. Teraz znów...

— Teraz znów co się stało? przerwała niespodzianie Eligija, która zjawiła się na progu blada, zapłakana, chwiejąca i gorączkowo patrzała po obecnych szukając wzrokiem narzeczonego.

Nastało ogólne milczenie, matka przystąpiła do niej, dziewczyna nie zważała na to.

— Gdzie jest pan Feliks? pytała wspierając się na drzwiach, jak gdyby jej sił brakowało. Gdzie pan Feliks? pytała z wzrastającym niepokojem, nie odbierając odpowiedzi, ja to chcę, ja to powinnam wiedzieć.

— Pan Feliks w tej chwili wyszedł, powróci zapewne, uspokój się Elciu, szepnęła wreszcie Stasia.

Ale Eligija odwróciła się od niej z widocznym wstrętem, wzrok się zaiskrzył.

— Ty musisz wiedzieć to najlepiej, wybuchnęła, ty co stałaś się powiernicą jego zamiarów, jeżeli poszedł, to z twego rozkazu.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE Z ARMENII

Alberta Eynaud

wolny przekład z francuskiego

PRZEZ

Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Przebyte wrażenia znużyły wszystkich; rozwieszono przeto między dwoma kolumnami płótna namiotu, i utworzono tym sposobem w świątyni jakby dwa pokoje, poczem podróżni udali się na spoczynek.

Pani Morton i Łucya usunąwszy się razem do jednej części świątyni, usnęły niebawem twardo, mężczyzni długo wszakże w drugiej jeszcze gawędzili.

— Powiedz mi, zapytał Tigranes Selima Agę, jakim sposobem znalazłeś się tak w samą porę wśród tej zawiei śnieżnej?

— Zostałem również jak i wy zaskoczony niespodzianie przez tepi, odparł Aga. Znałem wszakże lepiej miejscowość, schroniłem się przeto do tej starej świątyni, która jak to zapewne uważaliście nie dalej jak o sto kroków jest oddaloną od miejsca gdzie się zatrzymaliście, tylko zawieja śnieżna nie dozwoliła wam ją dostrzedz.

Kilku wieśniaków wiodących muły naładowane wiązkami drzewa, schroniło się również do tej świątyni. Byłem im rad szczerze, kupiłem bowiem od nich drzewa, rozniecił em ogień i gdy przy nim siedząc nareszcie drzemać zacząłem, nagle w powietrzu rozległ się strzał donośny. Sądząc iż może ktoś z podróżnych zaskoczony burzą wzywa w ten sposób ratunku, zawołałem na moich ludzi i pospieszyłem naprzeciw. Oto wszystko co mogę wam powiedzieć, resztę już wiecie.

— Jak tylko burza uspokoi się, pośpieszę natychmiast do mej wioski, sprowadzę ze sobą ludzi i wszystko co potrzeba abyście mogli bezpiecznie ruszyć w dalszą drogę. Spodziewam się wszakże iż zanim udacie się do Erzerum, wstąpicie pierwej do mnie. Ubogi jestem, nie taję tego, znajdziecie jednakże niezawodnie w mym domu wygodny po trudach podróży spoczynek.

Stowart i Tigranes przyjęli z wdzięcznością to zaproszenie, poczem za przykładem kobiet udali się na spoczynek, a gdy nazajutrz zbudzili się już Selima Agi nie było. Wyruszył w drogę jak mówili słudzy zarówno z jutrzenką.

Jasne promienie słońca, które przedarłszy się przez śnieżyste obłoki, oświetliły wnętrze świątyni, zbudziły Łucyę. Ubrawszy się spiesznie zasiadły z panią Morton do skromnego śniadania składającego się z kwaśnego mleka, mięsa wędzonego i brzoskwiniowego ciasta, poczem pani Morton zajęła się haftowaniem kwiecistego dywana, który wydobywała na każdej stacyi a Łucya namówiona przez Stowarta poszła zwiedzić świątynię; Tigranes podjął się służyć im za przewodnika.

Był to piękny wspaniały prawdziwie budynek, pochodzący z czasów Grzegorza Oświeciciela (*), Turcy przezwali go Sarmadyik Killissé z powodu bluszczu oplatającego frontową ścianę. Łucya wsparta na ręku kuzyna, przypatrywała się dosyć obojętnie kamiennym kopułom świątyni, jej arkadom, rzeźbom i posągom, inne bowiem myśli zajmowały ją w tej chwili. Wypadki przez które przeszła dnia poprzedniego, cisnęły się jej tłumnie do pamięci. Myślała o śmierci, której była tak bliską, o okropnościach *tepi*, o tajemniczym nakoniec zbawcy, co z narażeniem własnego życia pospieszył na ich ratunek i wyrwał ją z tak wielkiego niebezpieczeństwa. Mówiono o nim iż był rozbójnikiem, czyż to być mogło?

Wyobrażenia mieszkańców wschodu, są tak odmienne od naszych, iż w ich przekonaniu Aga nic zdrożnego nie czyni: usprawiedliwiała Łucya sama przed sobą odważnego Kurdeńczyka. Alboż zresztą nie słyszałam chwalących się nie raz mych stryjów, że pomiędzy naszymi przodkami było kilku rozbójników morskich.

Kto wie, czy Blandemerowie, którzy rabowali osiadłe na piaskach u stóp ich zamków okręta, byli równie szlachetni jak ten bandyta z góry Kurdy? Kto wie czy owi feudalni Normandowie, mieli uczucia tak podniosłe jakich dał dowód Selim Aga? Przysługa jego była nie tylko wielką, lecz przy tem tak skromnie i delikatnie oddaną, iż dowodzi najwyraźniej że jest to człowiek z duszą szlachetną i umysłem wyższym. Jak mu teraz podziękować, jak okazać wdzięczność? Łucya była zakłopotaną.

Około południa, kazawszy zanieść poduszki do przedsionka kościoła, panna Blandemer usiadła w drzwiach prowadzących na wschody aby przypatrzeć się okolicy. Słońce świeciło teraz jasno, niebo było pogodne, śnieg tak szalejący i groźny, leżał teraz nieruchomy, milczący jak puchowy kobierzec.

Szczęśliwa iż niebezpieczeństwo minęło, Łucya używała z całą rozkoszą tej błogiej ciszy, tem milszej po przebytych wrażeniach. Tęskny jej wzrok pobiegł wdal, między śniegowe zaspy i skały wyniosłe, w tem na zakręcie drogi dojrzała kilku jezdców spieszących cwałem w kierunku kościoła: na ich czele jechał Selim Aga.

W pierwszej chwili Łucya nie poznała go, zrzucił bowiem z siebie suknią i fez turecki, który przybrał tylko chwilowo, aby nie był poznany podczas swej wyprawy przeciwko naczelnikowi Mekcie, a przywdział teraz swój narodowy. Śnieżysty biały turban zastąpił czerwony fez, miał przy tem na sobie błękitny kaftan suto złotem haftowany a cały arsenał drobnej broni oprawnej w srebrne rękojeście wyrabiane w rozmaite wzory, błyszczał na jego kilcie, przypominającej kilty górali szkockich. W pasie przepasany był szeroką białą kaszmirową szarfą w której kryły się dwa pistolety, a u jego boku na jedwabnym czerwonym sznurku ze złotemi chwastami wisiała długa szpada o prostej klindze, zabytek dawnych widocznie czasów.

Pięknym był Selim Aga w tym stroju! Silny, dobrze zbudowany a przytem smukły, miał w sobie coś majestatycznego; był to prawdziwy władzca tyle w nim było królewskiej godności. Koń jego zwinny jak jeleń zaledwie kopytami dotykał śniegu, a wstrząsając z zadowolnieniem grzywą zdawał się pysznić swym panem.

(*) Grzegorz Oświeciciel zaprowadził w Armenji religiję chrześcijańską około r. 300.

Po za Selimem spieszyło około trzydziestu Kurdów, jak on uzbrojonych w pistolety, kindżały i długie szpady, przy których migały się czerwone chwasty.

Przybycie Selima, było hasłem do odjazdu; nasi podróżni poczęli czynić spiesznie przygotowania i nie wyszło pół godziny czasu, karawana prowadzona przez Selima dążyła już zwolna w kierunku Abdurahmanli.

Tuż obok Łucyi i Tigranesa, jechał Selim Aga milczący, poważny, choć rozmowa na chwilę nie ustawała.

Łucya rzucała od czasu do czasu na niego przelotne spojrzenie, w końcu odezwała się, zwracając ku niemu pytanie:

— Jesteście dziś czegoś smutni Ago? rzekła zwracając się doń z wyrazem twarzy pełnym współczucia.

Selim uśmiechnął się smutnie, nic wszakże nie odpowiedział. Łucya pragnąc przez samą grzeczność utrzymać rozmowę, poczęła go rozpytywać o rodzinę, dom, o jego przeszłość, o życie obecne i inne szczegóły osoby jego dotyczące.

Aga odpowiadał zrazu półsłówkami, lecz powoli, zrucił z siebie tę sztywną nieśmiałość i począł z wymową pełną prostoty opowiadać o przygodach, oraz przyjemnościach koczowniczego życia, o długich, bezczynnych dniach zimowych samotnie spędzonych, o walkach jakie staczali ustawicznie nad brzegami potoków, lub nad przepaściami, współzawodniczące między sobą pokolenia.

Chwilami zapominał widocznie o obecności Łucyi, mówił spokojnie lubo z życiem, a czasami mieszał się nagle i stawał nieśmiałym.

Łucya była nieco płochą, to też wrażenie jakie wywierała na Selimie zajmowało ją a nawet cieszyło.

— Nie grozi przecież tutaj żadne niebezpieczeństwo, myślała sobie, za trzy dni będziemy daleko już od siebie, zapomni więc o mnie jak ja o nim, i o wszystkiem com przebyła. I zwracając się do swego milczącego towarzysza rzekła:

— Zacny Ago, gdy porównywam twoją posępność z naszem wesołem usposobieniem, mimowoli robię sobie zapytanie, czy cię nie dolega jakie zmartwienie?

— Może, odparł Selim.

— Jak widzę zmartwienia są chorobą wszystkich klimatów, odparła z uśmiechem, szczęściem iż kto chce szczerze ten zawsze może z niej się wyleczyć.

Selim spojrzał na nią poważnie, byli w tej chwili sami, Aga oddalił się bowiem od towarzystwa pośpieszywszy nieco naprzód a Łucya toż samo uczyniła. To mu dodało odwagi, pochylił się ku Łucyi i szepnął jej kilka wierszy z jakiejś starej poezyi perskiej, wyrażające tęsknotę serca bez nadziei kochającego.

Żywy rumieniec oblał twarz Łucyi.

W tej chwili Stowart i Tigranes zbliżyli się ku niej, Selim Aga spojrzał przenikliwym wzrokiem na Łucyę, poczem żwawiej przodem popędził.

Nie bez pewnego niepokoju, przypatrywał się Stowart zdala, gdy piękna jego kuzynka rozmawiała z ożywieniem z Selimem Agą. Nie lękał się w nim rywala, gdyż nie miał tego na myśli; prędzej mógłby być zazdrosnym o najprostszego żołnierza ze swego pułku, jak o tego Kurdeńczyka; a przecież sam nie wiedział dla czego patrzył niechętnie na rozmawiającą Łucyę z Selimem.

III.

Około godziny czwartej z wieczora, Aga i jego goście stanęli w Abdurahmanli. Na wyniosłości tworzącej rodzaj przylądka, otoczonego z trzech stron strumieniem, w którego ściętych lodem wodach odbijało się krwawo zachodzące słońce, wznosiła się gromadka niskich chatek, do wnętrza których, trzeba było wstępować po kamiennych wschodach.

Lubo Kurdeńczycy wyznają islamizm, nie zachowują jednakże wszystkich przepisów Mahometa i ich kobiety nie kryją się przed wzrokiem obcych, i nie noszą zawojów oraz twarzy nie zasłaniają welonami. Strudzonych podróżnych powitała w progu domu Selima jego siostra. Była to piękna młoda jeszcze kobieta, nie miała w sobie nic z owej nieśmiałości, którą odznaczają się powszechnie kobiety Wschodu; przeciwnie każdy jej ruch, każde słowo, nacechowane były tą pewnością siebie, jaką nadaje nam przeświadczenie iż nie zajmujemy podrzędnego stanowiska.

Była też ona rzeczywiście głową nie tylko domu w którym witała obecnie przybyłych, lecz całego niemal pokolenia. Selim Aga zasięgał we wszystkich ważniejszych sprawach zawsze jej rady, jakby wyroczni małej rzeczypospolitej, której on był prezydentem.

Powitawszy przybyłych, siostra Selima przedstawiła im następnie córkę, młode jeszcze dziewczę o jasnych włosach, co na wschodzie wielką jest rzadkością.

Niebawem podano wieczerzę złożoną z pieczeni baraniej, przyrządzonej na sposób narodowy, z potrawy z kur, ze smarzonych owoców, oraz innych jeszcze przysmaków. Stary pieśniarz wioskowy, niewidomy jak Homer przygrywał obok stołu na instrumencie przypominającym gitarę, śpiewając jednocześnie na przemian to po persku, to po turecku, lub kurdeńsku.

Po skończonej wieczerzy, chwilę jeszcze goście pozostali przy stole aby posłuchać śpiewaka który porzuciwszy gitarę, wziął do ręki flet i znane już Łucyi słowa pieśni kochającego serca, tęskne i rzewne jak skarga, smutne jak łza, rozległy się wśród czterech ścian izby. Poznała je natychmiast, zmieszała się i mimowoli wzrok jej pobiegł w stronę w której siedział Aga z głową podpartą na ręku. Jakby rozbudzony magnetyczną siłą tego spojrzenia, nagle podniósł się od stołu gwałtownie i rzekł szorstko do pieśniarza.

— Dosyć tej muzyki!

Zmieszany flecista cofnął się do przyległej izby, a Selim Aga popadł znowu w zamyślenie. Milczenie zaległo izbę, lecz siostra Selima niebawem ją przerwała robiąc uwagę, iż czas byłoby podróżnym udać się na spoczynek. Pani Morton i Łucya poparły jej zdanie, siostra więc Agi poprowadziła je do sąsiedniego domku, gdzie umyślnie dla nich izbę przygotowano.

Pokój był obszerny, schludny i wesoły, oświetlony czerwonym blaskiem trzaskającego na kominie płomienia, przyjemne czynił na podróżnych wrażenie. Na podłodze rozpostarte były materace, przykryte flanelowemi, o szerokich pasach kolorowych kołdrami. Pani Morton, która upadała ze znużenia, rzuciła się natychmiast na jedno z owych łóżek, unosząc i chwaląc iż jeszcze nigdzie nie zdarzyło się jej spotkać tak wygodnego posłania.

Nazajutrz Selim Aga oprowadził gości po nowej wiosce; Abdurrahmanli należy do zamożniejszych miejscowości Armenji, ubóstwo jest tam tylko pozornem, kto przejdzie próg niskich tych chatek, ten się o tem z łatwością przekona. Miedziane gospodarskie sprzęty błyszczące czystością, suche ciepłe izby, stodoły zapełnione zbożem, piękne nareszcie konie, owce, kozy i bydło świadczą o wielkiej we wszystkiem zamożności.

Łucya oprowadzana przez Selima przypatrywała się z zajęciem gospodarstwu. Podziwiała jego kozy o długiej jedwabnistej sierci spadającej aż do ziemi, olbrzymie psy strzegące stodół, które tak były silne i wielkie iż zdawało się że z łatwością zwyciężyłyby nietylko wilka, lecz i niedźwiedzia. Wśród obór tu i owdzie snuły się dziewczęta o kruczych włosach i spojrzeniu nieco dzikiem. Łucya unosiła się nad ich zręcznością, nad klasycznemi rysami ich twarzy, co chwila zwracała się do Agi, aby chwalić jego posiadłość, bogactwo, mieszkańców, wszystko jednem słowem na co tylko okiem rzuciła.

Gdziekolwiek wstąpili tego dnia nasi podróżni słyszeli wszędzie imię Agi wymawiane z miłością i poszanowaniem. Tam mówiono im o jego sprawiedliwości, tu o jego odwadze a władza jaką posiadał nie opierała się widocznie na ślepem posłuszeństwie. Kurdowie uznawali w nim pana bo go kochali i szanowali, bo posiadał wszystkie przymioty wodza, był szlachetny, odważny, rozumny i dobry, a chociaż obok tego był mściwy i gwałtowny, wady te wybaczano mu, gdyż nigdy nie uniósł się bez powodu, nigdy niesprawiedliwości nie popełnił.

— Jak to miło być tak kochanym, odezwała się Łucya zwróciwszy się do Selima i być uznawanym za najlepszego ojca swego pokolenia. Jesteście Selimie bardzo szczęśliwym.

Selim uśmiechnął się, nie powiedział jej wszakże nic takiego jak wczoraj, tylko smutek co zasępiał jego czoło znikł nagle. Odprowadzając jednak dalej gości po swem państwie, jak panna Blandemer nazwała wioskę, zwracał się już teraz wyłącznie do Łucyi, opowiadał jej z ożywieniem o sobie, o swoich poddanych, o stosunku ich wzajemnym, a mówiąc nie spuszczał Łucyi z oka. Wzrok jego to tonął w jej spojrzeniu, to przesuwał się po całej postaci, zdawał się podziwiać jej wiotką kibić, lekki chód, maleńką nóżkę i zdawał się mówić wyraźnie:

— Piękną jesteś o piękną bardzo!

Tuż za Selimem i Łucyą a często i obok szli Stowart z Tigranesem, obaj chmurnie obaj niechętnie spoglądający na Agę. Mimo całej przysługi jaką naczelnik Kurdów oddał karawanie, Tigranes nie mógł zapomnić, iż jest on przedstawicielem nieprzyjacielskiego Armenji plemienia, niechętnie też mieszał się do jego rozmowy i wolał się trzymać na stronie.

Co do Stowarta, ten bardziej jeszcze od Tigranesa był niezadowolnionym z towarzystwa Agi; próżno powtarzał sobie iż śmiesznem jest być zazdrosnym o tego dzikiego bandytę, a mimo tego krew mu się w żyłach burzyła, gniew kipiał w sercu, i wolałbyłby dwa tysiące liwrów zapłacić za usługę jaką im wyrządził, byle nie czuć się obowiązanym do wdzięczności.

— Kiedyż masz zamiar opuścić Abdurahmanli? zapytał Stowart wieczorem kuzynkę, gdy rozchodzić się już mieli na spoczynek.

— Jakże ci się śpieszy, odparła Łucya. Selim okazuje tyle uprzejmości iż przez samą grzeczność musiemy z parę dni zabawić w jego domu.

— Gdyby Aga nie był dzikim nieokrzesanym Kurdeńczykiem, posądziłbym....

Nie domówił jeszcze ostatniego słowa, a z błękitnych oczów Łucyi błysnął gniew; królowa czuła się obrażoną.

— A chociażby i tak było, odparła wyniośle, któż ma prawo mi tego zabronić, alboż nie jestem panią swej woli, alboż zobowiązałam się względem kogo.

To powiedziawszy, powstała i oddaliła się szybko do swego pokoju. Stowart zmieszał się: co myślić, co sądzić o niej sam nie wiedział.

(*d. n*).

Przegląd teatralny.

Przed Ślubem,

Komedya w 5-u aktach, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zaleskiego.

Trafia się często, iż młodzi autorowie po raz pierwszy przed publicznością występujący, grzeszą zbyt niewolniczem naśladownictwem: podobno i słynni dziś w literaturze dramatycznej francuzkiej, Oktawiusz Feuillet i Wiktoryn Sardou nie byli w swoim czasie od tego zarzutu wolnemi, i dopiero potem, stopniowo, pozbywając się cudzych piórek wyrobili w sobie indywidualne cechy, a każdy nowy z pod ich pióra wychodzący utwór, mógł być uważanym jako krok naprzód na drodze prowadzącej do sławy, uznania, znaczenia. I pan Kazimierz Zaleski także w pierwszym swoim dziele nie uchronił się od wpływu, jaki na wrażliwym umyśle wywiera zwykle urok prac o ustalonej sławie pisarzów, na których się kształcił; komedya „Z postępem“ w wielu szczegółach przypomina Fredrę, Narzymskiego i t. d., gdyż odwzorowane w niej postacie, posiadają zarysy pierwotworów służących początkowo panu Z. za studya.

Idąc na przedstawienie drugiej z rzędu komedyi tegoż autora, byłem przekonanym iż przyjdzie mi zaznaczyć jeden stopień udoskonalenia, jedno posunięcie się wyżej, jeden wreszcie ruch w kierunku dodatnim; nie sądziłem jednak nigdy ujrzeć tak niezmierną różnicę, pomiędzy dwoma w krótkich odstępach czasu utworzonemi dziełami. Pan Zaleski nie zrobił kroku naprzód, ale dokonał olbrzymiego rzutu, stawiającego go odrazu na wyżynie, której wielu innych, nawet po długich latach usilnej pracy dosięgnąć nie zdoła. Komedya „Przed Ślubem“, wynik samodzielnej myśli, głębokich badań serca ludzkiego, wniknięcia w tajemnice życia, nosi we wszystkich szczegółach cechę namaszczenia. Charaktery działających osób, skreślone są pewną i śmiałą ręką, rozwój sceniczny prowadzony umiejętnie, dyalogowanie barwne, język wykwintny, i wiele głębokich myśli błyskających tu i owdzie niby świetne meteory, wywołują na słuchaczach niezwykłe wrażenie. Pan Z. posiada wszystkie dodatnie strony myśliciela, psychologa i dramaturga: nie szukał on jak autor „Niewinnych“ w dziedzinie paradoksów tematu do swej komedyi, nie ubrał chorobliwych mrzonek w filozoficzne łachmany, ale znalazł treść tuż obok siebie, w życiu potocznem, rodzinnem, w zwykłych stosunkach towarzyskich. Matka pełna próżności i chęci błyszczenia w uprzywilejowanem gronie, trwoniąca mienie córki niby dla pokazania jej światu, a właściwie w celu zadowolenia swych zachcianek, wuj i zarazem opiekun grabiący posag siostrzenicy, córka gotowa poświęcić się dla swej rodzicielki wejściem w związki małżeńskie z bogatym a bezmyślnym pasożytem, są typami jakie na każdym kroku w społeczeństwie naszem napotkać można. Ale w chwili gdy Helena powodowana prądem twardej i niezłomnej powinności, ma wypełnić ofiarę własnem okupioną szczęściem, staje przed nią jako wybawiciel, człowiek wstrętnej brzydoty, ułomny, stary, lecz odznaczający się najszlachetniejszemi uczuciami. Człowiek ten poprzysiągł umierającemu ojcu opiekę nad sierotą, i wypełni swoją przysięgę. Ażeby ją ocalić od przymusowego małżeństwa z niegodnym jej ręki pretendentem, zajmuje jego miejsce; August posiada nierównie większy majątek od zbydlęconego materyalnem życiem Klapkiewicza, przyjętym więc zostaje przez matkę i opiekuna z otwartemi rękami — co zaś do Heleny, ta oceniając wielkie przymioty duszy i serca przyjaciela jej ojca, poddaje się losowi swojemu jeżeli nie z radością, to przynajmniej z przekonaniem iż będzie mogła czcić i szanować tego, z którym ma się dozgonnemi połączyć węzły. Ale czyliż zostanie z nim szczęśliwą? Niestety! on wie że brzydota wycisnęła na całej jego postaci wstrętne swe piętno: żona może mieć dla niego szacunek, przyjaźń, spółczucie —miłość jednak nie zdoła nigdy ubarwić kwiatami rozkoszy jej życia. On ją kocha, lecz przedewszystkiem pragnie jej szczęścia: mniejsza o jego własną dolę, mniejsza że złamany tą gorącą choć starannie tajoną miłością żywot, stanie się dlań długiem pasmem cierpień i katuszy—należy się poświęcić. Cóż więc czyni? Zbliża sam swoją narzeczoną z ubogim malarzem Antonim, i łączy kochających się wzajemnie młodych ludzi, zabaczając o ubeznicestwieniu całej swojej przyszłości!

Taką jest mniej więcej treść komedyi pana Zaleskiego. Treść to nie bogata w szczegóły, ani odznaczająca się nowością pomysłu; przypominająca tendencyą „Odludków i poetę“ Fredry, niektóremi zarysami „Majątek albo imię“ Korzeniowskiego, a nawet główną postacią „Hans Jurgę,“ a jednak okoliczność ta nie wpływa bynajmniej ujemnie na sztukę. W dziele dramatycznem treść jest niczem—obrobienie, charaktery i rozwój sceniczny wszystkiem. Można nawet jak to uczynił Hrabia Fredro w komedyi „Zemsta za mur graniczny“ wziąść użyty poprzednio przedmiot (Sarmatyzm Fran. Zabłockiego) i oblec go w nową szatę, a żaden z bezstronnych sędziów za złe tego poczytać nie powinien; tymbardziej gdy autor tak jak pan Z. w przeprowadzeniu przewodniczącej idei dowiódł niezaprzeczonego, wyższego nawet talentu, a w skreśleniu charakterów, wyniku głębokich studyów serca ludzkiego. Postać głównie działającej osoby to jest kolos, narysowany koturnami; blask jaki bije od aureoli cnoty okalającej skroń tego męża czynu, poświęcenia i zaparcia się własnej istoty zdumiewa lecz nie razi, kontrast zaś jaki wyradza porównanie szpetności ciała z pięknością duszy tym większą nadaje siłę tej granitowej, o potężnych kształtach istocie. Jednak pomimo śmiałych zarysów czyniących zeń olbrzyma, nie jest on fikcyją, ale człowiekiem który walką pierwiastków ujemnych i dodatnich wyrabia w sobie tę niezmierną siłę; owa walka odbywa się w głębi jego duszy, powolnie, stopniowo, konsekwentnie: nie widzimy jej w czczej deklamacyi ale w subtelnem cieniowaniu uczuć i wrażeń ucieleśniających myśl autora, postawioną na kresach łączących realizm życia z idealizmem.

Obok Augusta inne kreacye maleją, chociaż wszystkie bez wyjątku są osobistościami wiernie z życia społecznego wyjętemi. Miłość dwojga młodych kochanków walczących ciągle z przeszkodami zmateryalizowanego świata, nieokrzesanie Klapkiewicza, prozaiczność Muszkata, a nawet pociągająca serdecznością choć o niezupełnie odpowiednich konturach postać Baltazara Uszyńskiego, składają kalejdoskop typów, jakie nam wszystkim zdarzało się często wśród kolei życia spotykać. Pan Zaleski nie wytwarzał jak autor „Niewinnych“ charakterów w bujnej swojej imaginacyi, ale obserwował otaczających go ludzi i notował skrzętnie własne spostrzeżenia; z tego też powodu przedstawione przez niego typy, są to istoty z ciała, krwi i kości, a nie automaty poruszające się na sztucznych sprężynach sofizmatu. Pomimo braku jedności akcyi i niektórych że się tak wyrażę drobiazgowości w szczegółach, interes ani na chwilę nie słabnie, tak silnem jest wrażenie wywołane przez całość konsekwentnie przeprowadzoną i prawdę życiową tryskającą z każdej niemal sceny. Autor tworząc swoje dzieło widocznie więcej powodował się refleksyą aniżeli natchnieniem; sądzimy nawet iż z umysłu tłumił w sobie popędy wyobraźni ażeby nie minąć się z realnością. Postacie wprowadzonych przez niego osób, są po większej części wypunktowane w najdrobniejszych zarysach z psychologiczną ścisłością, a jednak pomimo tego pan Z. nie popadł w manierę. Wyznaję iż przy pierwszem rozwinięciu akcyj, widząc to poniekąd drobiazgowe cieniowanie, tę matematyczną że się tak wyrażę ścisłość w zarysach, doznałem obawy o powodzenie komedyi; ale gdy następujący po sobie szereg scen płynął niby spokojne nurty wspaniałej rzeki, gdy dyalogi łącząc w sobie barwność słowa z głębokim poglądem, srebrzyły niby strumienie z czystego powstałe źródła, gdy wreszcie stanęły przedemną owe różnorodne a tak wiernie odwzorowane postacie, po nad któremi wznosił się na piedestale cnoty olbrzym poświęcenia, doznałem prawdziwego zachwytu.

Są ludzie i ja znam takich, którzy ów kolos o tytanicznych kształtach uważają za nazbyt wyidealizowaną istotę — błędnem jednakże jest ich mniemanie. Gdyby nawet pan Zaleski skupił wszystkie promienie świata w jeden punkt, osłaniając ujemnym cieniem realizmu inne osoby sztuki, to i tak dopiąłby swego celu przedstawieniem pierwotworu na jakim winna się kształcić upadająca ludzkość; ale on jak już wyżej powiedziałem, ominął ten szkopuł przez wytworzenie owej wewnętrznej walki namiętności z poczuciem świętego obowiązku, każącej nam w olbrzymie widzieć człowieka. W dzisiejszym, zmateryalizowanym poziomemi dążnościami wieku, w którym źle zrozumiana walka o byt zastąpiła starodawną cnotę ojców naszych, podobne Augustowi postacie rzadkiemi są, ale istnieją. Ktokolwiek przerośnie maluczkich głową, może stać się dla nich niepojętem zjawiskiem; ci jednak którzy nie wyplenili z siebie duchowych czynników życia, witają w takich kreacyach wydobyte sztucznie z chaosu ujemnych pierwiastków wzory, a patrząc na nie pragną dążyć wskazanemi ślady. Bezcelowym jest dramat który bawiąc nie umie nauczyć, szkodliwym jeżeli podkopuje zasady moralności; za prawdziwie pożyteczny wtedy uznać go można, kiedy przedstawiając nam w żywych przykładach o estetycznych zarysach piękno, skłania do naśladowania cnoty, zwycięzenia plugawych namiętności, i zbliżenia się potęgą ducha do tych wyżyn, których śledzący tętno życia w ziemskim kale materyaliści, ani pojąć ani zrozumieć nigdy nie zdołają.

W ogóle komedya „Przed Ślubem“ należy do szczupłej liczby najlepszych tegoczesnych utworów w zakresie dramatycznym. Przy więcej szczegółowem anatomizowaniu cząstek jej składowych, odkryć by wprawdzie można niektóre usterki, ale te są tak drobne, że tylko sumienie sprawozdawcy który jest obowiązany zawsze obok światła stawiać cienie, sprawia iż o nich nawiasowo wspomnę.

Otóż przedewszystkiem ciągłe hamowanie zapału sprawia iż niektóre sceny przedstawiają się mniej efektownie, jakiemi by przez ogrzanie ich ciepłem sercowem być mogły. Zyskuje na tem koloryt, traci akcya; czujemy wulkany w głębi serc, a częstokroć nawet zarzewia pod twardą powierzchnią kryjącej go lawy dopatrzyć nie możemy. Jedna, a raczej jedyna scena wydaje mi się być pozbawioną psychologicznej prawdy: czyliż naprzykład podobna przypuścić ażeby Helena w której autor wyidealizował cnotę poświęcenia, mogła w chwili dokonania ofiary pytać nieznanego człowieka o radę, prosząc o objaśnienie jak ma sobie postąpić? Istoty podobnego zakroju ducha wyrabiają w samych sobie siłę do dokonania wielkich i świętych czynów — podnietą dla nich jest własne sumienie, nigdy postronne wpływy; charakter córki pani Łuckiej zanadto posiada przymiotów serca i duszy, ażeby postępek ów oznaczający niejaką chwiejność w wypełnieniu tego co szlachetna dziewica uważa za konieczne, był zgodnym z heroiczną jej naturą. W Uszyńskim serdeczność zbyt wyjawia się na zewnątrz. Pedagogiczny zawód ma to do siebie

iż zwykle nawet ludzie sercowi, nabierają pewnej sztywności, która z przebiegiem lat przechodzi w rutynę dającą im pozory chłodu i zimniejszego traktowania rzeczy, choć dusza ich ożywioną bywa ciepłem uczucia. Uszyński jest wybornym, ale pomimo recytowania przysłów łacińskich, widzimy w nim raczej dobrodusznego hreczkosieja, niż przejętego rutyną poprzednich swoich zajęć profesora. W końcu, niektóre zarysy konturujące indywidualność Klapkiewicza zdają mi się cokolwiek za ostre: trudno przypuścić np. ażeby w dzisiejszym wieku nawet osoby pozbawione ogłady towarzyskiej mogły rozgadać się z podobną rubasznością w obec dam o skutkach niektórych chorób, i przypadłościach jakie wyniknąć mogą z nadmiernego użycia wód mineralnych. Wprawdzie matce i wujowi wiele zależało ażeby wydać młode dziewczę za zamożnego człowieka, a Helena powzięła niezłomne postanowienie zadosyć uczynić ich woli; są jednak pewne względy przyzwoitości, które nawet w tyle wyjątkowem położeniu zachowanemi być winny.

Ale powtarzam raz jeszcze, iż te małoznaczne usterki uważać można jako zaledwie dojrzane ciemniejsze punkciki na jasnem tle z którego promienieje aureola wyższego, samodzielnego talentu twórcy komedyi „Przed Ślubem“. Rad jestem niewypowiedzianie iż mi przyszło powitać w panu Zaleskim znakomitego dramatycznego pisarza; od niejakiego bowiem czasu nader smutną była moja dola. Powołany na stałego sprawozdawcę niniejszego pisma w dziale dramatycznym jakoteż belletrystyczno - literackim, musiałem w małych odstępach pisać o tyle niemoralnej i tak obrażającej prawdę życiową sztuce, jaką jest komedya „Niewinni,“ o rażącej brakiem sensu, nieznajomością gramatyki i ohydnym ateizmem, „Barbarze“ p. Ronieckiego, a nakoniec o pełnych zacnej myśli, ale ubożuchnych talentem wierszach p. Eysymonta. Ile kosztowało waszego sługę rozgrzebywanie tych literackich śmieci, pojmie z łatwością każdy kto tylko czuje w głębi swej duszy zamiłowanie estetyczne piękna. Skreślenie obecnej oceny wynagrodziło mnie sowicie za przeszłe trudy. Jakże to miło na arenie sceny powitać gladyatora, który zaledwie wszedłszy w szranki zwycięża, i wyciągnąwszy do niego dłoń bratnią powiedzieć: „idź dalej w imię Boże po obszernej drodze, na krańcu której widnieje kwiecisty wieniec powszechnego uznania, i niezaprzeczonej zasługi!“

Artyści z małemi nader wyjątkami odpowiedzieli godnie wielkości swego zadania.

Wdzięczną a jednak nader trudną do odtworzenia jest rola Augusta. Materyały do niej gotowe, starannie obrobione, systematycznie uporządkowane, czekają tylko na atletę któryby ich mógł użyć; ale nie każdego barki są dość silne, ażeby mogły udźwignąć ten ciężar. Że pan Królikowski podołał zadaniu, że nie zgiął się pod brzemieniem, nikogo ze znających wszechstronny talent tego artysty zadziwić nie może. Śledząc w najdrobniejszych odcieniach znakomitą jego grę, zachwycony przedewszystkiem byłem subtelnością przejść jakiemi oznaczył stopniowanie rosnącego a tłumionego ciągle uczucia. Tyle tam prawdy, życia, a jednak taka oszczędność deklamacyi! Częstokroć jeden ruch, gest, odpowiedni wyraz twarzy określają sytuacye lepiej i dokładniej, niżliby tego forsowne zniżanie i podnoszenie głosu uczynić zdołało. Apoteozą dzieła są ostatnie dwa akty: w apoteozie tej stał się on nieporównanym.

Do panny Romany Popiel mam już oddawna uzasadnioną pretensyę, a obecnie powziąłem zamiar wypowiedzieć jej słowa prawdy. Żeby też choć raz jeden, znakomita ta artystka pozwoliła mi uchwycić jaką ujemną stronę w powierzonej sobie roli, i tym sposobem wmieszać choć szczyptę atyckiej soli do sprawozdań moich. Napróżno! Pisząc o niej muszę wciąż chwalić, a pochwały te ciągle powtarzające się wyradzają pomimowolnie monotonność. To samo ma miejsce i dzisiaj. Wzniosły charakter bowiem poświęcającej się dla matki Heleny, oddanym został prawdziwie po mistrzowsku, a jedyna scena mogąca narazić na szwanki sztukę, przez zręczne zastosowanie febrycznego drżenia w głosie, została nie tylko uratowaną, ale sprawiła efekt. Panna Popiel widocznie przeczuła niebezpieczeństwo w oddaniu tej nienaturalnej sytuacyi, a upozorowawszy ją wybuchem chwilowej ekzaltacyi, zrobiła możliwą.

Pana Ostrowskiego niejednokrotnie widzieliśmy w rolach rubasznych, krzykliwych, buńczucznych lub zawadyackich szlagonów, nigdy jednak uchwycony przez niego z natury typ, nie był podobnym do żadnej z poprzednich kreacyj. Artysta ten posiada szczególny dar urozmaicenia z jednej rodziny wziętych charakterów: oprócz odpowiedniej dykcyi, niektóre gesta Klapkiewicza tak dobitnie a zarazem tak odrębnie malowały zarozumiałego, ograniczonego, a przytem pełnego animuszu parafijanina, iż zdawało nam się widzieć przeniesioną z głębi prowincyi na deski teatralne postać. Mianowicie scena przy mazurze i wyzwanie na pojedynek, oddane zostały z niezwykłą werwą.

Powyższej pochwały nie mogę, pomimo najszczerszej chęci zastosować do pana Chomińskiego. Uszyński, tak jak go chciał mieć autor, nie był ani serdecznym pedagogiem, ani troskliwym o przyszłość syna ojcem — pozostał po prostu panem Chomińskim i niczem więcej. Nawet owe ciągle powtarzające się frazesy łacińskie, wyglądały więcej na popis ze swojej erudycyi, niżeli na cechę charakteryzującą indywidualność profesora zakładu naukowego.

Teodor Drecki (p. Grzywiński) i Łucka (p. Niewiarowska) byli na swojem miejscu: egoizm obojga choć w odmiennej formie oddany został zupełnie zadawalniająco, a przerażenie dbającego o całość swej osoby wuja-opiekuna przy wyzwaniu na pojedynek, wywołało huczne oklaski. Pan Tatarkiewicz umiał jak zawsze przejąć się przedstawioną przez siebie rolą, a hamując o ile tego żądał autor wybuchy zapału, niepopadł w drażliwej scenie oświadczenia miłości narzeczonej swego dobroczyńcy w deklamacyę, i zbawił tym sposobem po części przynajmniej zakochanego portrecistę od zarzutu niewdzięczności.

Pan Leszczyński nareszcie przedstawiając zmateryalizowanego pasożytę, chybionego rzeźbiarza, który trawiąc życie bezczynnie, bryzga swym cynizmem w oczy światu, dowiódł, iż i ten nawet rodzaj ról jest dla niego odpowiednim. Obok wybornej charakterystyki twarzy, prawdziwy humor, jakoteż naturalny a nie przesadzony komizm, cechował grę utalentowanego naszego artysty.

Otóż i wszystko. Kończąc niniejsze sprawozdanie tak o sztuce jakoteż o jej wykonawcach, nie pozostaje mi nic więcej jak objawić życzenie, ażeby więcej podobnie niezaprzeczonej wartości dzieł, pojawiało się w repertuarze teatrów Warszawskich.

Ludwik Niemojowski.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Maszynka automatyczna do czekolady.

Kociołek albo raczej słój metalowy jak zwykle do maszynek od kawy używany, dosyć wysoki, wszędzie równy i okrągły, ma wewnątrz urządzenie zupełnie w nowym rodzaju, które ciągłe mieszanie kołowrotkiem gotującej się czekolady niepotrzebnem czyni, ponieważ bezprzestanne przelewanie się płynu przez dziurki lejka między podwójne ściany naczynia, rozpuszcza czekoladę, mieszając ją zarazem z nalanem mlekiem lub wodą.

Nowy system urządzenia tej maszynki, na tem polega, że wewnątrz kociołka wkłada się rodzaj dziurkowatego lejka, z szerokiem wydrążeniem w środku. Płyn wlewa się w kociołek, a następnie wstawia lejek w który się sypie czekolada w proszku lub kawałkach; resztę czynności w przyrządzeniu tego wybornego gorącego napoju, zostawia się działaniu maszynki, której praktyczność stwierdziwszy własnem doświadczeniem, śmiało ją polecić możemy. Maszynki zarówno służyć mogą przy kuchenkach naftowych jak i na blachach kuchni angielskich gdyż mają dogodne drewniane rączki i szczelne pokrywki. W magazynie naczyń kuchennych p. Schredera na Granicznej ulicy, półkwartowa kosztuje rs. 1 kop. 50.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Józefie W. w Czeluśniach. Zapewne, że w dziale krytycznym Tygodnika należałoby i o Zorzy obszerne pomieścić sprawozdanie, ale pismo to jest tak niestarannie prowadzone, tak nie odpowiadające swemu przeznaczeniu, tak nudne w czytaniu, że na pracę krytyczną o niem, szkoda czasu i atłasu. Powody zaniedbania tego jedynego u nas organu a tak koniecznego wyjaśni p. Adam Goltz radzca Tow. Kredytowego w Warszawie, jako głównie zajmujący się wydawnictwem i redagowaniem Zorzy.

Słuszna Pani uwaga że nie wszystko złoto co się świeci, i że nie każdy co wiele o Bogu mówi, postępuje po Bożemu. Potęga rubla wszędzie się przebija, a im piękniejszy cel, tym skrzętniej wykrawa się z niego maskę, aby śmielej działać pod jej osłoną dla miłości miłego grosza.

Pani A. Z. w Radomiu. Wszystkich futer na łokcie do okładania paletotów dostać można, tylko droższe zamówić trzeba: tańsze zaś są gotowe w magazynach futrzanych.

Bobrów amerykańskich kosztuje łokieć od rs. 2 do 4 1/2 kamczackich od rs. 6 do 20 1/2, Niedźwiadków od rs. 2 1/2 do 4 1/2. Obecnie na obłożenia najwięcej są używane z tańszych futer, szopy których łokieć kosztuje rs. 4. Kołnierze szalowe są zupełnie gotowe jak również szerokie mankiety dopełniające ubrania paletotów polonezkami zwanych. Garnitur szopowy złożony z mufki, kołnierza i mankietów wypadnie mniej więcej rs. 18 do 25. Redakcya wszystkich się sprawunków podejmuje dla swoich prenumeratorów.

Pani Wirginji S. na Podolu. Pisma zostały zaprenumerowane na rok następny. Komplet Tygodnika Romansów i Powieści kosztuje rs. 3. Kalendarz żądany kop. sr. 30, przesyłka i opakowanie zapewne najmniej kop. 50. Na to wszystko w depozycie naszym mamy rs. 2. Upraszamy o nadesłanie przed Nowym Rokiem brakującej sumki.

Pasy do ornatu z wyszytym deseniem i włóczkami potrzebnemi na tło kosztować będą mniej więcej rs. 7 do 15. Zależy to od cienkości kanwy. Koszta opakowania przesyłki pocztowej i komisowego wyniosą około rs. 2.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 (16) Декабря 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 49.

(Dokończenie).

Rzęd 11. * 3 o. kr., 1 prz., 11 o. gł., 1 prz. powt. od *. Rzęd 12. * 3 kr., 13 gł., powt. od *. Rzęd 13. * 3 kr. 1 prz., 5 gł., 1 o. zd., 1 zg. gł. i zdjęte przewlec, 5 gł. 1 prz., powt. od *. Rzęd 14. * 3 kr., 5 gł., 1 zd., 1 gł., zdjęte przewlec, 5 gł., powt. od *. Rzęd 15. * 3 kr., 1 prz., 4 gł., 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew., 4 gł., 1 prz. od *. Rzęd 16. * 3 kr., 4 gł., 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew. 4 gł. powt. od *. Rzęd 17. * 3 kr., 1 prz., 3 gł., 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew., 3 gł., 1 prz., powtarzać od *. Rzęd 18. * 3 kr., 3 gł., 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew. 3 gł. powt. od *. Rzęd 19. * 3 kr., 1 prz.. 2 gł. 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew., 2 gł., 1 prz., powt. od *. Rzęd 20. * 3 kr. 2 gł., 1 zdjąć, 1 zg., zdjęte przew., 2 gł., powt. od *. Rzęd 21. * 3 kr., 1 prz. 1 gł., 1 zdjąć, 1 zg.. zdjęte przew. 1 gł. powt. od *. Rzęd 22. * 3 kr. 1 gł., 1 zdjąć 1 zg., zdjęte przew., 1 gł., powt. od *, Rzęd 23. * 3 kr., 1 prz., 1 zdjąć, 1 zg. zdjęte przew., 1 przy., powt. od *. Rzęd 24. * 3 kr. 1 zdjąć, 1 zg. zdjęte przew., od *.

Teraz odrobić 2 razy czarno, 2 biało, 2 czarno, naprzemian raz gł. raz kr., wykonać biały szlaczek ażurowy, w którego 8-miu obrobieniach, powtarza się naprzemian: Rzęd 1. * 1 o. gł. 1 zg. przewłócząc o. przez oko, 1 prz., powtarzać od *. Rzęd 2. cały gładko. Powtórzyć szlaczek czarny z białem i dodać falbankę robioną w następujący sposób: Rzęd 1. * 1 o. gł., 1 prz., 1 gł., 1 kr., 1 prz. 1 kr. od *. Rzęd 2. naprzemian 3 o. gł., 3 kręto. Rzęd 3 jak drugi. Rzęd 4. * 1 gł.; 1 prz. 1 gł., 1 prz., 1 gł., 1 kr., 1 prz., 1 kr., 1 prz., 1 kręto. Rzęd 5 i 6-ty. 5 o. gł., 5 kręto; powtarzać na przemian. Zakończyć lóżno włóczką czarną.

N. 23—24. Koszyk do robót, na postumencie. Haft kordonkami kolorowemi.

Koszyk w guście chińskim jest z trzciny wyginanej czarnej i złoconej. Przykrycie naśladuje dach pagody i jest w rogach ozdobione dzwoneczkami. Cztery medaljony chińskie, wyszywa się na atłasie czarnym różno kolorowemi jedwabiami, podług ryciny 24. W środku koszyk i przykrycie wyłożone są przymarszczonym repsem żółtym, kokardy są ze wstążki żółtej repsowej.

N. 25. Próbka roboty do ryc. 12 w N. 48 Tygodnika.

N. 26—27. Próbki do ryciny 7 w N. 48 i 29 w N. 49.

N. 28 i 29. Dwa kaftaniki dziecinne. Robota szydełkowa, ścieg tunetański.

N. 30. Kaftanik dziecinny sukienny. Krój jak do ryc. 13 i 14 w N. 36 Tygodnika.

Przy kaftaniczku popielatym, sukiennym, kołnierz, ubranie kieszonek i klap przy rękawach, objęcie kaftanika i oszycie guzików jest z atłasu tego samego koloru.

Kaftaniczek zapina się na haftki od spodu, a objęcie dziurek odznacza naszyciem plecionki i guziki dodaje się dla ozdoby.



N. 1. Ubranie balowe. N. 2. Ubranie wieczorowe dla młodej panienki.

N. 31. Ubranie na głowę z liści i ptaka.

Z liści winnych w kolorze zielonym i jesiennym, ułożony jest dyjadem, z dwoma długo z tyłu spuszczonemi gałązkami. W środku dyjademu umieszczony ptaszek, ma piórka połyskujące zielone.

N. 32. Ubranie na głowę z welonika koronkowego.

Na koncerta i do teatru, ładne i świeże ubranie głowy upina się z chustek, woalików, lub małych szalików koronkowych, z dodaniem wstążki lub kwiatów. Na ryc. 32, ubranie upięte jest z chustki trójkątnej, mającej w długim, skośnym brzegu 120 cent. długości a 50 środkowej szerokości. Róg środkowy, upina się na foremce ze sztywnego tiulu oszytej drucikiem, końce zaś zaokrąglone spadają długo na piersi. Z jednego boku dodany bukiet z róż. Upięcie jednak takie wymaga wiele gustu i zręczności, ażeby wydawało się lekko i było do twarzy.

Opis do N. 51.

N. 1. Ubranie balowe.

Do wszelkich lekkich, balowych sukien, czy to z krepy tiulu, tarlatanu, lub t. p., falbany, riusze lub inne garnirunki nie powinny być obrąbiane, tylko równo ucięte, jedynie dolne plisowanie albo falbanę zakończa się dla większej mocy i sztywności szerokim obrębem.

Rycina 1 przedstawia suknię odpowiednią na bal albo ślubne zebranie, odrobioną z blado zielonego tarlatanu. Spódnica oszyta plisowaniem z tyłu 22, z przodu 12 cent. szerokiem, zakończonem sutą riuszą; boki odsłonięte przez podpięcie tuniki, ozdobione były wzdłuż naszytemi riuszami, skrócanemi stopniowo od 60 do 20 cent. długości. Fartuszkowy przód tuniki mający 154 cent. długości, z boków ułożony jest w równe fałdy 36—40 cent. zajmujące, równo i zręcznie ułożone i z przodu nieznacznie przeszyte. Riusze i plisowanie 10 cent. szerokie, naszyte dwa razy, naśladują podwójny fartuszek. Tylny bryt tuniki 300 cent. długi a 140—150 szeroki w bufy podpinany, z boków przyszywa się riuszą a u dołu podchodzi pod garnirunek spódnicy. Pojedyncze blade róże z listkami zdobią przepięcia buf, gładki stanik z bawetem, sznurowany z tyłu, zdobi berta wzdłuż fałdowana i oszyta zarówno jak krótkie rękawki riuszą. Od róż przypiętych na ramionach spuszczone długie gałązki. Na wierzchu głowy przypięty suty bukiet kwiatów, od którego spuszczone w tył gałązki i pukle ze wstążki.

N. 2. Ubranie wieczorowe. Krój tuniki ryc. 4—5 w N. 36 Tygodnika.

Suknia z białego batystu albo muślinu z prosto ściętą fartuszkową tuniką i w kwadrat wyciętym stanikiem, ozdobiona jest wstawkami $3\frac{1}{2}$ cent. szer. haftu angielskiego. Do klarownego muślinu albo do kolorowego lino, wstawki mogą być wywodzone na tiulu albo z koronki irlandzkiej. Wolant przy spódnicy trzyma 34 cent. szerokości, wolanty przy tunice przystębnowane pliskami są $7\frac{1}{2}$ cent. a przy staniku i rękawach 4-ry cent. szerokie. Stanik z przodu kwadratowo wycięty, dopełnia szmizetka z zakładek i wstawki, której wykrój wraz z wykrojem stanika oszyty riuszą tiulową. Na głowie wstążka kolorowa i kwiatki filigranowe srebrne.

N. 3—4. Koszula dzienna z karczkiem i rękawkami z gwiazdek z tasiemeczki i roboty szydełkowej.

Trochę zaokrąglony pasek, równej z przodu i z tyłu szerokości, zapinany na ramionach, robi się razem z rękawkami, podług dobrze dopasowanej miary. Rodzaj roboty szydełkowej i szerokość karczka, przedstawia próbka naturalnej wielkości, ryc. 4. Dla ozdoby, karczek i rękawki przewleczone są kolorową wstążeczką.

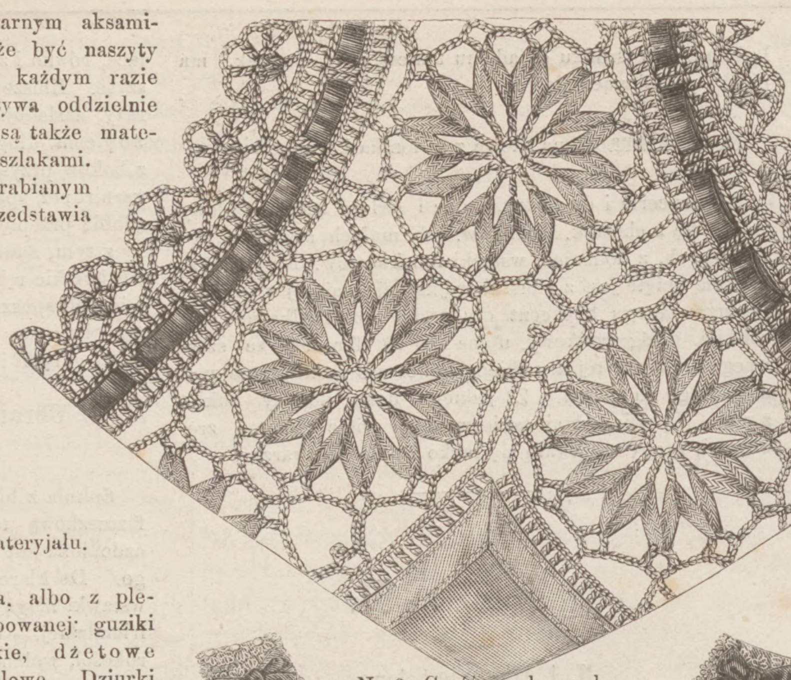
N. 5—6. Ubranie z vêtement dla panienki lat 8—12. Krój vêtement. ryc. 2—5 w N. 43.

Ryc. 5 i 6 przedstawia z przodu i z tyłu, ubranie przykrojone podług wyżej wskazanej formy, z dwoma odmiennemi garnirunkami; tylko w miejsce wielkiej kontrafałdy spódnica z tyłu jest zmarszczona i do gładkiego, spodniego staniczka przyszyta. Pod niedochodzące się, na patki zapinane przody vêtement, podszyte są w górze części kamizelkowe. Zmianę w kroju pleców i przydłużenie, łatwo będzie można podług dzisiejszej ryc. 5 dopasować, model tej ryciny odrobiony był z popielatego beżu; 14 cent. szerokie plisowanie, u dołu było obrąbione i 6 cent. pozostawione na falbankę, dalej 2 razy przestębnowane, a w górze plisą z czarnemi wypustkami $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką przyszyte. Także plisa i raz przestębnowane plisowanie $7\frac{1}{2}$ cent. szer., zdobią vêtement u dołu, przy staniku, kieszeniach i patkach do zapinania przodów, dodane wypustki z czarnej materyi. Ryc. 6 przedstawia sukienkę wełnianą ciemną, oszytą wolantem 10 cent. i plisowaniem 7 cent. szerokiem, 2 razy przestębnowanem. Klapki, kieszonki i patki, objęte czarnym repsem. Vêtement oszyte 8 cent. szerokiem obłożeniem z czarnych piór albo baranka.

N. 7—8. Spódnice pod suknię.

Obie spódnice mają przód i po jednym klinie skośnie ścinanym, a bryt tylny prosty. Dolna szerokość wynosi

około 280 cent., a brzeg obejmuje się czarnym aksamitem. Szeroki odmienny szlak u dołu, może być naszyty na wierzchu lub przyszyty do spódnicy; w każdym razie kraje go się podług formy brytów i zeszywa oddzielnie a brzeg górny oszywa wypustką. Modne są także materyjały na spódnice z fabrycznie tkanemi szlakami. Taką spódniczkę czarną, ze szlakiem przerabianym w kostkę z białych jedwabnych prążek przedstawia ryc. 7. Na ryc 8 widzimy spódniczkę z czarnego lastyngu, ze szlakiem czarnym atłasowym, lekko podwatowanym i przepikowanym w deseń, białym jedwabiem.



N. 3. Część karczka od koszuli r. 4. Robota szyd. z tas.

N. 9—12. Dwa rękawy i dwie odpowiednio przybrane kieszonki.

N. 9—10. Rękaw i kieszonka oszyte pletnią wełnianą albo pliskami z aksamitu, materyi lub tego co suknia materyjału.

Frendzla może być wiązana, krepowana, albo z plecionki krepowanej; guziki szmuklerskie, dżetowe albo metalowe. Dziurki odznacza się sznureczkiem jedwabnym lub rulonikiem z materyi; kokarda jest ze wstążki.



N. 5. Sukienka z vêtement dla panienki lat 8—11. Plecy do ryc. 6.

N. 11—12. Rękaw i kieszonka z wyłożeniem.

Mankiet rękawa objęty jest stębnowaną pliską z aksamitu lub materyi tym samym materyjałem podszywa się róg zwierzchni odwinięty. Kieszonka oprócz wyłożenia tworzącego dwa zęby, oszyta jest riuszą albo plisowaniem, odpowiednio do garnirunku sukni.



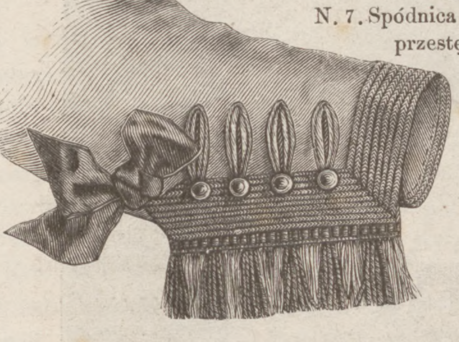
N. 4. Koszula z karczkiem i rękawkami z tasiemeczki w ząbki spajanej robotą szydełkową. Patrz ryc. 3.

N. 13. Paletot oszyty piórami i pasmanteryją. Przód na ryc. 9 w N. 52 Tygodnika.

Puszczony aksamitny paletocik, obłożony futrem albo piórami i naszyty bogatą pasmanteryją, u dołu oszyty jest frendzlą wiązaną, jedwabną, 20 cent. szeroką. Suknia z czarnego jedwabnego repsu, z przodu oszyta czterema plisowanemi falbankami, a z tyłu wolantem zakończonym plisowaniem i szerokim garnirunkiem, w środku układanym w odstępach w 4-ry fałdy, z brzegów mającym sute nagłówki obrąbione rulonikiem.



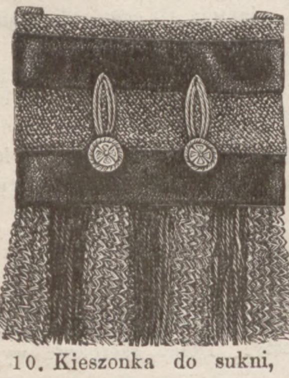
N. 7. Spódnica ozdobiona przestębnowanym atłasem. N. 8. Spódnica ze szlakiem przerabianym fabrycznie.



N. 9. Rękaw od sukni przybrany pletnią lub pliskami.

N. 14—15. Haft na tkaninie adamaszkowej, na poduszki serwety lub portyjery.

Materyjał: adamaszek niciany lub jedwabny koloru perłowego, 4 cent. szer. paski sukna ciemno brązowego, wycięte w ząbki; pół cent. szer. plecionka brązowa, także cienki okręcany sznureczek i jedwab kordonkowy w trzech cieniach. Sposób wyszywania wskazany na ryc. 15.



N. 10. Kieszonka do sukni, Odpowiednia do rękawa rycina 9.

N. 16. Ubranie z kwiatów na głowę.

To balowe ubranie stanowi wianeczek z drobnych blado różowych kwiatów, złączony z tyłu bukietem z róż, który przypina się z lewego boku. Długie z tyłu spadające gałązki, mają korzonki gutaperkowe.



N. 13. Paletot przybrany piórami i pasmanteryją. Przód podamy w następnym N-rze.

N. 17. Motyl do ubrania głowy odrobiony z piór pawich.

Korpus motyla 3 cent. długi a $^3/_4$ szeroki robi się z ciemnego wosku i okleja krótko obciętemi, pojedynczemi włókienkami piór pawich, oczy są z perełek czerwonych. Skrzydełka większe 6 cent. długie, a $3^1/_2$ szerokie, wycinają się z dużego pióra, a skrzydła wązkie, 9 cent. długie a 2 szerokie, są z końców pióra; dla większej puszystości nakleja się z lewej strony pojedyncze włókienka. Poczem końce skrzydeł są w wosk wsadzone, cały motyl do sprężynki z drucika przymocowany i do szpilki lub kokardy przyczepiony.

N. 18. Medaljon do teki, pudełka lub t. p. Haft płaski kordonkami kolorowemi, na aksamicie, materyi lub suknie.

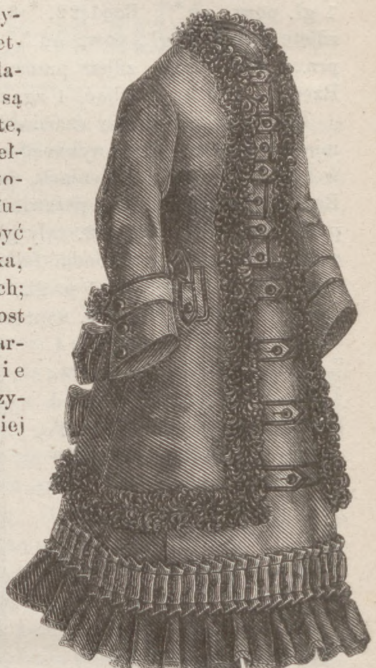
N. 19—20. Dwie próbki ściegu krzyżowego. Na poduszki pantofle i t. p.

N. 21—33. Bukiet z kwiatów i cukierków, do ubrania stolika z choinką, albo do kotyljona.

Bukiet z kwiatów batystowych albo z bibułki, układa się w koło mocnego pręcika do którego przywijają się naprzemian kwiaty i różne cukierki, przymocowane do drucików. Liście mogą być prawdziwe, dobierane z trwałych zimowych, nie prędko więdnących roślin.

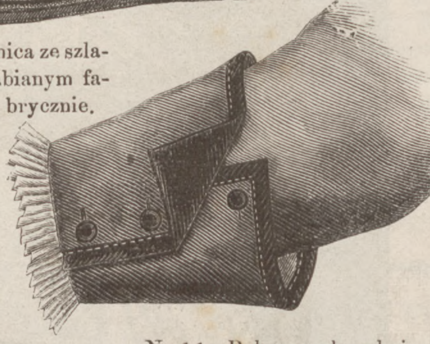
N. 34—35. Wyszywana serweta.

Na serwetach do przykrycia stołu i na serwetkach służących do śniadania lub herbaty, modne są obecnie szlaki wyszyte, kolorową turecką bawełną, ściegiem sznureczkowym, łańcuszkowym i długim. Bawełna może być pąsowa lub niebieska, albo w dwóch kolorach; deseń odrabia się wprost na serwecie albo na bardzo cienkiem płótnie które następnie jest przystębnowane. Do takiej roboty dobiera się serwety ze szlakiem ciągnionym lub arabeskowym, albo z gładkim pasem, desenie adamaszkowe są mniej odpowiednie i trudne.



N. 6. Suknia z vêtement dla panienki lat 8—11. Przód do ryc. 5.

Ryc. 35 przedstawia próbkę deseniu w naturalnej wielkości, który odrabia się na płótnie i przystębnowywa, tylko linije proste i krzyżowany szlaczek wyszyte były na tle serwety. Podobne desenie mogą być wyszywane w maszynie; narożniki łatwo ułożyć można podług ryc. 34.



N. 11. Rękaw od sukni przybrany wykładem.

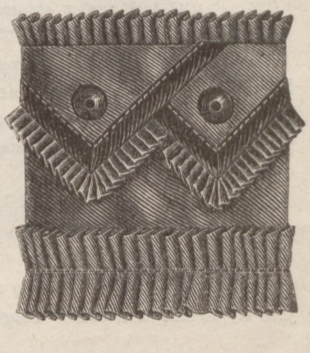
N. 36—38. Serweta z kartą.

Powyższe ryciny podają czytelniczkom nowość bardzo obecnie upowszechniającą się, są to bileta ze zwykłego biletowego papieru, albo z kory drzewnej, mające 10 cent. długości a 6 szerokości, które na tle czarnem lub białem mają sztychowane albo malowane gałązki lub bukieciki, z próżnem miejscem w środku zostawionem na nazwisko zaproszonej na obiad osoby, a bilet przypina się do serwety złożonej na talerzu. Osoby umiejące malować lub rysować, mogą karty odrobić własnoręcznie i używać ich nie tylko do stołu, ale jako bilety z powinszowaniem.

Opis do N. 52.

N. 1—3. Uczesanie w węzły.

Nawet nie zbyt wielkie własne włosy wystarczą do tego uczesania tylko z dodaniem krepin. Potrzeba rozdzielić poprzecznie włosy; tylną połowę rozczesać i związać w górze, przednią odwinąć w górę



N. 12. Kieszonka do sukni. Odpowiednia do rękawa r. 11.

na krepinie lub lekko zkarbowawszy rozczesać na dwie strony, jak na ryc. 1. Jeźli włosy są długie to końce przednich włosów można przyłączyć do związanych z tyłu, które podług ryc. 3 rozdzielają się na trzy części. W środek każdego promienia wsuwa się krepinę a następnie promień związuje lekko w węzeł; środkowy powinien wypaść niżej od dwóch bocznych. Po związaniu węzłów promienie upinają się podług ryc. 2, środkowy najdłużej z węzłem na środku, pod nim przeciągają się od spodu dwa boczne w ten sposób aby węzły wypadły tuż przy końcu podwiniętych przednich włosów. Bukiecik pączków różanych i strusie pióro czynią to uczesanie odpowiedniem do wieczorowego ubrania.

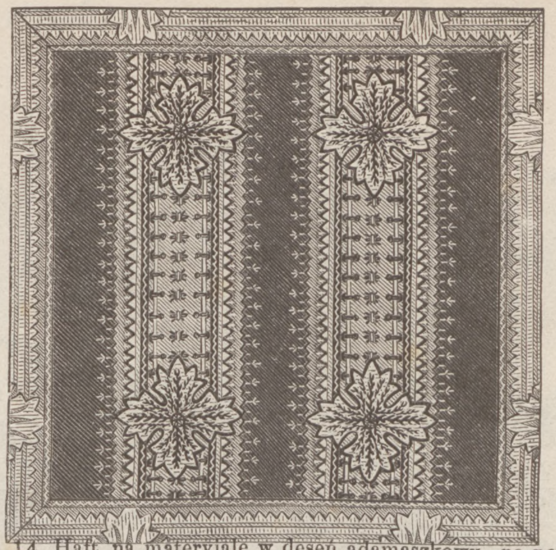
N. 4. Koronka irlandzka jako zakończenie do batystowych chusteczek, odrabia się z gładkiej i medalijonowej tasiemeczki.

N. 5. Kapotka kaszmirowa.

Na odszycie takiej kapotki potrzeba trójkąta błękitnego kaszmiru z błękitną jedwabną podszewką, oszytego z brzegów frendzlą z kulek 8 cent. szeroką, długość trójkąta wynosi 214 a szerokość w środku 58 centymetrów. Szpiczasty ząb który wypada po nad czołem trzeba zaokrąglić na 3 cent. szerokości. Listewka do przemarszczenia podszywa się poprzecznie od brzegu do brzegu w ten sposób, ażeby na karczek pozostało 14 cent. długości a główka miała w środku 41 cent. Wzdłuż przedniego brzegu od twarzy zakładają się drobniutkie fałdeczki które skracają długość do 60 centymetrów. Ażeby kapotka dobrze leżała potrzeba poddać od spodu główki dwa paski sztywnego tiulu oszyte drucikiem po 3 cent. szerokie a 32 i 28 cent. długie, paski te zwrócone do przodu w końcach złączone są z sobą, do jednego przyszywa się przedni brzeg kapotki po sfałdowaniu, drugi zaś podtrzymuje w górę główkę kapotki ażeby nie przygniatała włosów.



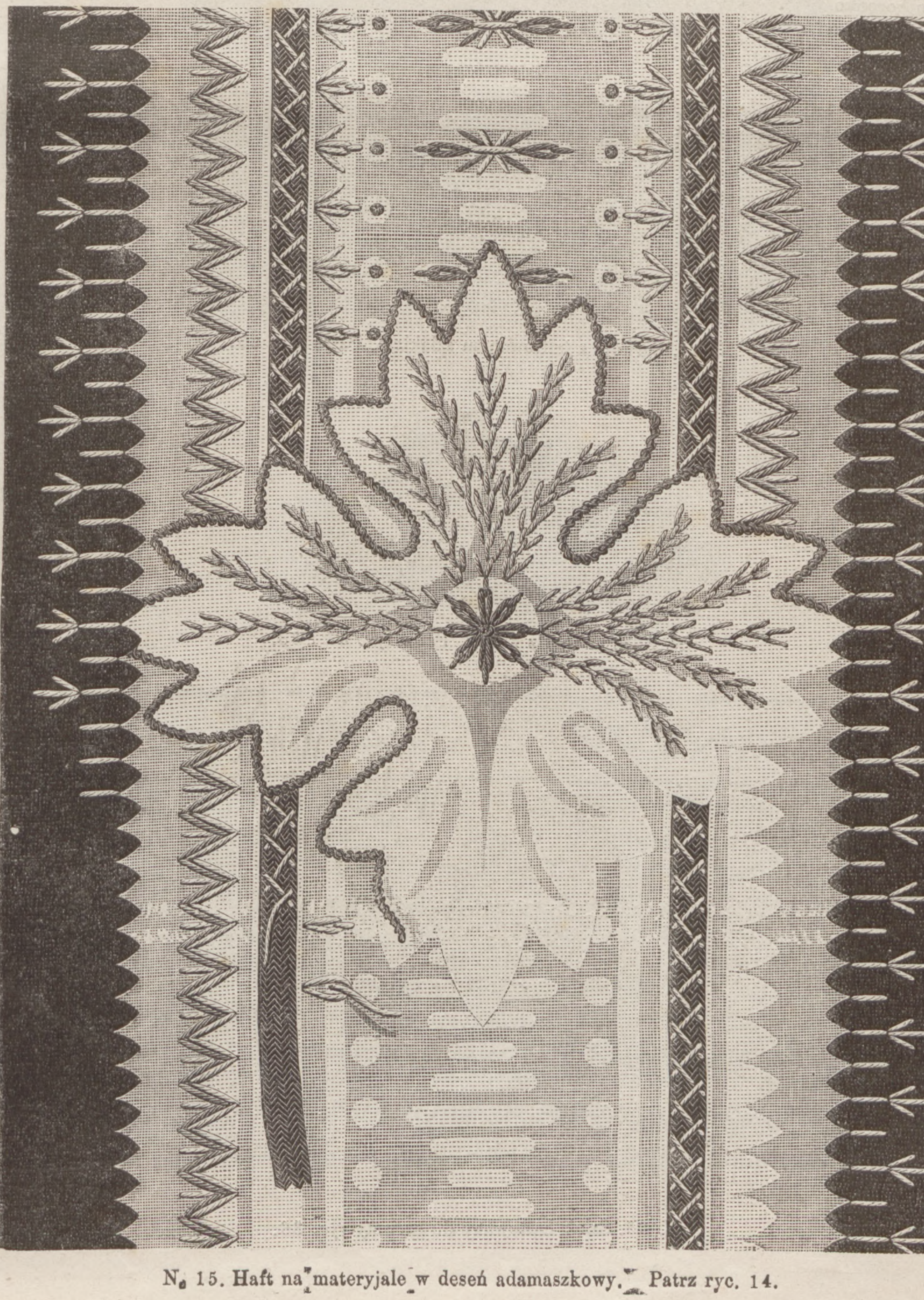
N. 16. Ubranko z kwiatów.



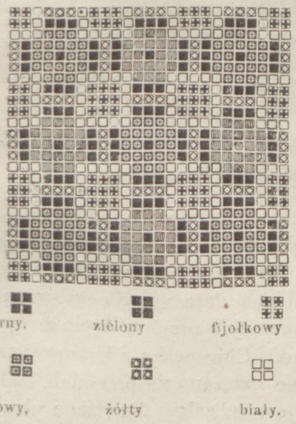
N. 14. Haft na materyjale w deseń adamaszkowy, na poduszkę do kanapy i t. p. Patrz ryc. 15.



N. 18. Medalijon haftem płaskim.



N. 15. Haft na materyjale w deseń adamaszkowy. Patrz ryc. 14.

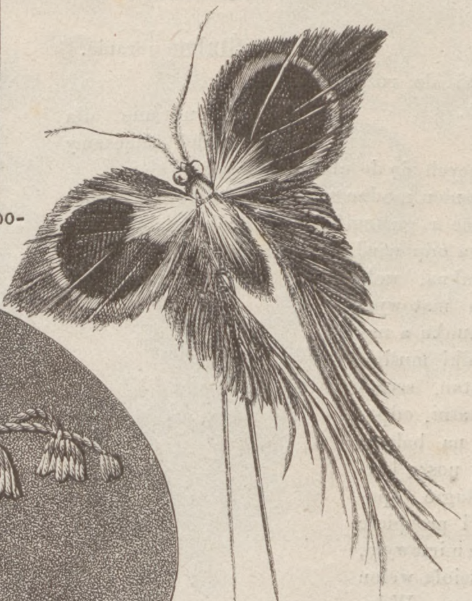


N. 19. Deseń na robotę krzyżową.

Kokardy z czarnej aksamitki $5\frac{1}{2}$ cent. szerokiej dopełniają przybranie.

N. 6. Kapotka z chustki włóczkowej.

Lekka i ładna kapotka, którą ryc. 6 przedstawia, upięta jest z cieniutkiej ażurowej chusteczki podszytej kolorową materyją. Włóczkowa chustka którą łatwo odrobić własnoręcznie na drutach lub szydełkiem, podług próbek różnych ściegów jakie podajemy w Tygodniku, zakończa się koronkowym szlakiem w zęby i liczy 86 cent. w kwadrat. Potrzeba złożyć ją na trójkąt tak aby zwierzchnia połowa odwinięta na trójkąt liczyła z brzegów 12 cent. szerokości, skosne złożenie stanowi brzeg idący do twarzy. Kolorowa materyja podszywa się od spodu wielkiego trójkąta który z tyłu na środku głowy zbiera się w drobne fałdki przyciśnięte z wierzchu kokardą. Między chustką a podszewką potrzeba wsunąć trójkąt sztywnego tiulu, na którym następnie przytwierdza się ubranie ułożone ze zwierzchniego małego trójkąta chusteczki podłożonego tiulem i odwiniętego do twarzy, jak to wskazuje ryc. 6. Repsowa wstążka lub materyja skośno krajana, zaobrąbiona lub wysiepana z brzegów, odpowiedniego podszewce koloru wzięta jest na kokardy zdobiące kapotkę.



N. 17. Motyl z pawich piór, do ozdoby głowy.

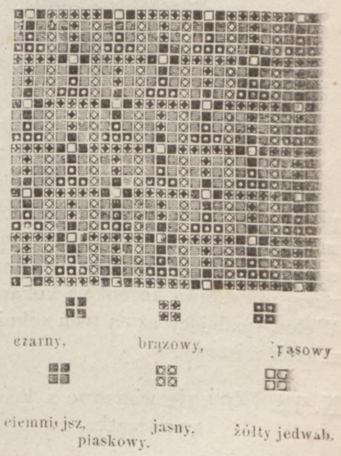
N. 7—16. Ubrania balowe, ślubne i wizytowe.

N. 7. Ubranie balowe z tarlatanu.

Fartuszkowa tunika zakończona plisowaniem przyczepia się na szwach tylnego bryta do sukni, wysoko nagarnirowanej bufami i zakończonej szeroką plisowaną falbaną. Tylne bryty suto odstające podpięte są z boków gałązkami kwiatów. Na wyciętym staniku skrzyżowana jest berta, układana w podłużne fałdy i zakończona drobniutkiem plisowaniem. Na głowie przypięta gałązka jarzębiny pąsowej ze złotemi liśćmi i długo spuszczającą się gałązką.

N. 8. Ubranie wieczorowe z atłasu lub materyi.

Atłasowa lub jedwabna suknia z trenem której tylne bryty zebrane są w kontrafałdę zakończona jest u dołu wolantem, układanym w odstępach w kontrafałdy, jak to widać z ryc. 8. Długa prosto ścięta tunika i wykrój kwadratowy stanika przy-



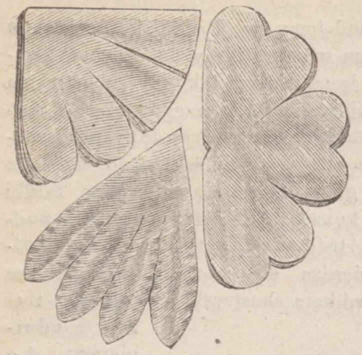
N. 20. Deseń na robotę krzyżową.

brany jest oszyciem z piór lub też sutą riuszą, układaną z siepanej materyi. We włosach i przy staniku róże.

N. 9. Opis podany był w przesz. N-rze przy ryc. 13.

N. 10. Ubranie wizytowe.

Suknia z materyi faille ze stanikiem z baskiną i fartuszkową tuniką, którą przykroić można



N. 26—28. Listki do róży ryc. 25.

podług kroju załączonego na arkuszu dodatkowym do N. 40, ryc. 3 (N. VII kroju Fig. 35—36). Przybranie stanowi bogata jedwabna pasmanteryja i długa frendzla koloru sukni. Długi szalowy kołnierz i rękawy są oganirowane koronką. Kapelusz filcowy przybrany aksamitem, piórami i kwiatami.

N. 11. Ślubne ubranie.

Podając ubranie dla panny młodej załączamy kilka słów odnoszących się do ubrań ślubnych.

Dla młodych panien modne są suknie ślubne zachodzące pod szyję przybrane z gustem lub bardzo skromnie; za materyjał można odpowiednio do gustu użyć ciężką materyję jedwabną, wełnianą w mięsistym matowym lub lżejszym gatunku a nakoniec biały gładki muślin. Tiul, gaza i tarlatan, szczególniej zaś ten ostatni, odpowiednie są więcej na balowe ubrania. Welony noszą bardzo szerokie i długie, spuszczone na twarz i przypięte sutem wianeczkiem mirtowym, po powrocie z kościoła welon odrzuca się z twarzy. Wdowy wstępujące powtórnie w związki małżeńskie wybierają na ślubne suknie materyje perłowe, lila lub srebrnopopielate w najjaśniejszym lub ciemniejszych cieniach odpowiednio do wieku. Welony dla wdów znacznie są krótsze i węższe i przypinają się z tyłu głowy, kosztowne lecz bardzo piękne przybranie stanowi welon koronkowy. W miejsce mirtu używają się róże białe i kwiat pomarańczy.

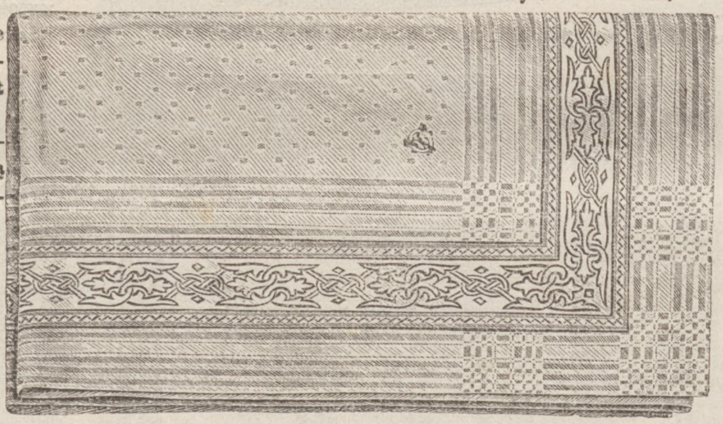


N. 22. Kwiat na druciku do ryc. 21.



N. 21. Bukiet z kwiatów i cukierków do kotyl. lub drzewka.

Na ryc. 11 załączamy ślubną suknię z ciężkiej materyi jedwabnej, odszytą bardzo modną obecnie formą princesse. Suta i w zupełnie nowym guście szarfa przypięta z boku ułożona jest z plisowanej materyi i koronki białej. Rękawy rozcięte do łokcia przybrane są potrójną plisą, prawdziwą koronką i kokardami. Welon spadający aż na tren sukni, wianeczek mirtowy.



N. 34. Serweta z haftowanym szlakiem. Patrz ryc. 35.



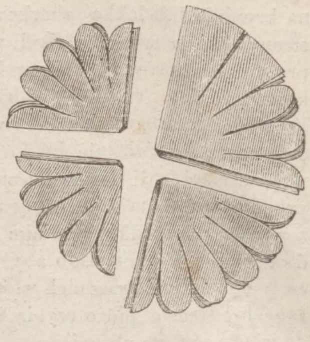
N. 25. Gałązka róży do bukietu ryc. 21. Patrz ryc. 26—28.



N. 36. Serweta z kartą. Patrz ryc. 37 i 38.

N. 12. Ubranie wizytowe z koronkową zarzutką.

Poważne to ubranie odpowiednie dla mężatek składa się z ciemnej jedwabnej sukni, dopełnionej tuniką zapiętą na guziki ozdobioną kokardami i koronką układaną w wachlarzowe fałdy. Na głowie zręcznie upięta zarzutka koronkowa, przybrana kokardą, do strojnego ubrania można dodać pióro przypięte szpilką złotą lub z drogich kamieni.



N. 30—33. Listki do astra ryc. 29.

N. 13. Ubranie małej dziewczynki, odpowiednie na ślub lub inną uroczystość familijną

składa się z muślinowej sukienki zaplisowanej w podłużne fałdki, dopełnionej wyciętem vêtement, bez rękawków, odszytem z błękitnej grenadyny, ogarnirowanem plisowaną riuszą i podpiętem z tyłu szarfami. Włosy zebrane są do tyłu, ułożone w loki przepięte girlandką.



N. 23—24. Dwa cukierki na drucikach do bukietu ryc. 21.

N. 14. Ubranie z krepowanego muślinu.

Suknia nagarnirowana wysoko sutem bufowaniem, zakończona u dołu szeroką plisowaną falbaną. Zakończenie tuniki stanowi kilka skosów zwijanych w ruloniki, naszytych jeden tuż przy drugim, berta odpowiednio do tuniki składa się także z ruloników i oszywa plisowaniem. Na głowie wianeczek z drobnych kwiatów, z gałązkami spadającemi na ramiona.

N. 15. Ubranie wizytowe z krótkim paletotem.

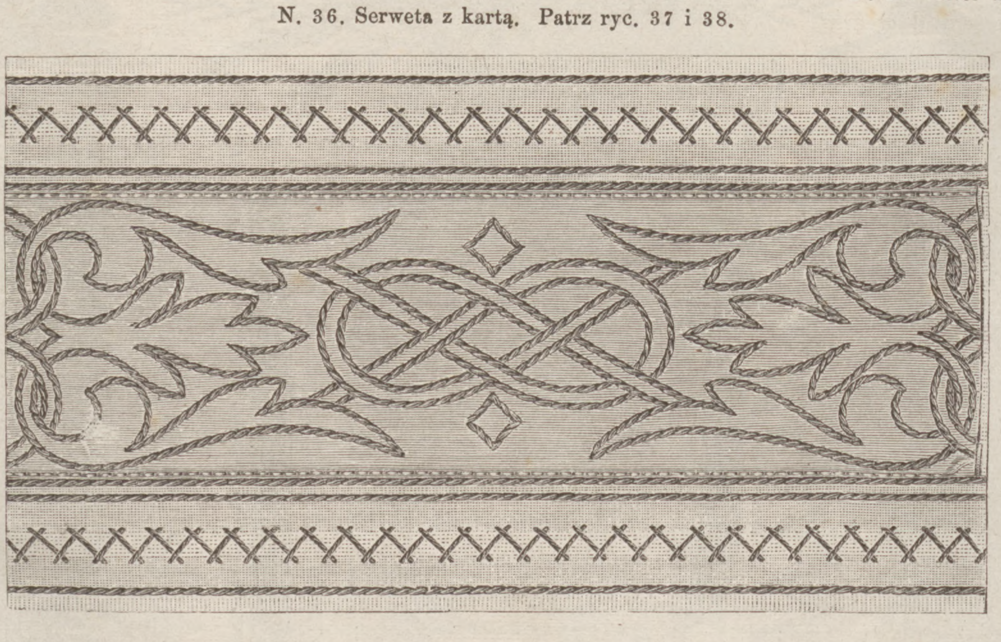
Długa fartuszkowa tunika przy kolorowej jedwabnej sukni, naszyta jest jedwabną torsadą i zakończona szeroką frendzlą. Krótki paletot z modnej tkaniny przerabianej w pasy obłożony jest na około futrem a na rękawach ma sute repsowe kokardy. Kapelusz aksamitny przybrany repsową wstążką i piórami.



N. 29. Aster do bukietu ryc. 21. Patrz ryc. 30—33.

N. 16. Ubranie wizytowe.

Suknia z brązowego jedwabnego repsu odszyta formą „princesse" przybrana jest szeroką jedwabną pletnią przerabianą złotem. Na rękawach dane kilkanaście razy naszycie z wązkiej plecionki. Chusteczka z brązowej crêpe de chine związana na piersiach, zakończona jest jedwabną frendzlą i plecionką przerabianą złotem. We włosach wpięte żółte róże. Formę sukni dopasować można podług vêtement ryc. 5 w N. 40. *(d. n.)*



N. 35. Szlak haftowany do serwety ryc. 36.



N. 37. Bilet do serwety lub z powinszowaniem.



N. 38. Bilet do serwety lub z powinszowaniem.